ROK II. Nr. 31 (80) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 3 sierpnia 1930 r.



RENDEZ - VOUS W PRZESTWORZACH... (fot. Fox)

LEON BRUN.

Polityka zdechłego psa

Tą dosadną nazwą ochrzcił nieboszczyk Clemenceau postawę radykalizmu francuskiego wobec Niemiec — wobec Niemiec trzech H: Hindenburga, Hittlera, Hugenberga. „Zdechły pies, niesiony prądem rzeki" — oto, do czego można porównać bezwład i ślepotę pewnych żywiołów pacyfistycznych, sprzyjających, świadomie lub bezwiednie, niemieckim zakusom odwetowym — oczywiście. kosztem Polski. I kosztem pokoju, bo przecież Polska nie da się chyba skrzywdzić bez czynnego protestu.

Bardzo zawiłą i bardzo żmudną, lecz i wdzięczną zarazem pracą byłoby docieczenie, o ile i w jaki sposób propaganda niemiecka, zasilana obfitemi środkami, podsycała w ciągu ostatnich kilku lat „politykę zdechłego psa" we Francji i gdzieindziej.



Człowiek kameleon. Przedwojenna karykatura lokarnisty Brianda, jako „żandarma Francji".

Przyjdzie czas i na to. Teraz pokażemy drogę, jaką przebył „zdechły pies", niesiony prądem oportunizmu, od Wersalu przez Locarno i Hagę do Moguncji, gdzie starego marszałka Hindenburga powitał sztandar o barwach cesarskich ponad zwartemi formacjami „Stahlhelmu".

Podczas gdy we Francji radykalizm łudził się naiwnie, że Niemcy republikańskie różnią się zasadniczo od Niemiec monarchistycznych, a chcąc im okazać swoje zaufanie, wymógł ewakuację Ruhry i Nadrenji — Niemcy, ze swej strony, skarżąc się wciąż na swoje krzywdy i apelując do czułych serc demokracji, przeszły od prezydenta Everta, socjalisty, do prezydenta Hindenburga, nacjonalisty, od socjalistycznego kanclerza Müllera do kanclerza Brüninga, który zerka w stronę Hittlera. Wszystkie rządy, jakie kolejno sprawowały władzę w Berlinie, bez względu na zabarwienie partyjne, patrzały przez palce na rosnącą potęgę Reichswehry. stworzonej przez jenerała von Seeckta, jako kadra przyszłej armji odwetowej, gdy tymczasem prasa lewicowa we Francji podkreślała z zadowoleniem „zanik militaryzmu" w Niemczech, stawiając je za wzór istotnej demokracji!...

Oczywiście, trudno mieć Niemcom za złe, że chytrze korzystają z pomyślnych konjunktur, aby dźwignąć się z upadku i w odpowiedniej chwili wymóc na zaskoczonej Europie rewizję Traktatu Wersalskiego.

Ale można — i trzeba — mieć za złe trudną do wybaczenia pohopność, z jaką pewne wpływowe sfery w państwach zwycięskiej koalicji poszły na rękę roszczeniom, pęczniejącego z każdym dniem germanizmu. Polityka niemiecka wewnętrzna opiera się na nacjonalizmie, militaryzmie i monarchizmie, ukrytym pod flagą republikańską w podobny sposób, jak w czasie wojny ukrywano baterje ciężkich armat pod pokrywą zieleni. Natomiast zagraniczna polityka Niemiec wyzyskuje przebiegłe mrzonki pacyfistyczne i teorje humanitarnego radykalizmu, przeważające dziś we Francji i w Anglji. Szuka ona—i znajduje—sprzymierzeńców nieświadomych, lub świadomie wyrachowanych, wśród socjalistów angielskich i francuskich, zawsze wysługujących się gorliwie Berlinowi i Moskwie i zawsze gotowych zdradzić interesy własnego kraju. Ilekroć Niemcy pragnęły rozluźnić krępujące więzy „dyktatu" wersalskiego — zawsze apelowały do „sumienia demokracji europejskiej" i zawsze z dobrym dla siebie skutkiem.

Kiedy, w czasie okupacji Ruhry, Niemcy straszyły Europę, że „pangermanizm" ukuje z tej opresji cenną broń agitacji przedwyborczej — „polityka zdechłego psa" pośpieszyła wycofać się z Ruhry, obiecując sobie należny i godziwy ekwiwalent w utrwaleniu demokracji w Niemczech. „Ekwiwalent" przyszedł — w postaci wyboru starego marszałka z gwoździami, bożyszcza militarnych Niemiec, na stolec prezydjalny po siodlarzu Ebercie.

To samo powtórzyło się, w kilka lat później, z ewakuacją Nadrenji, której domagały się uparcie koła radykalno - socjalistyczne w Anglji i we Francji, aby „ułatwić" socjal-demokracji niemieckiej współpracę z „pojednawczą" polityką Stresemanna.

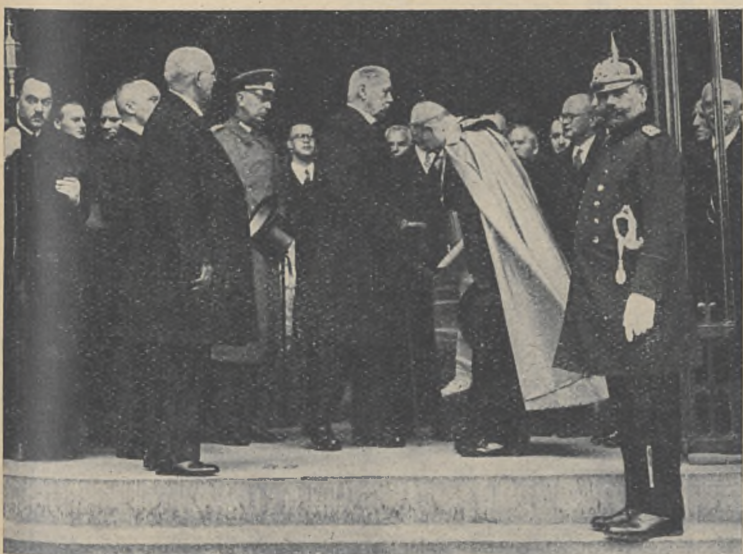
Ewakuacja nastąpiła d. 30 czerwca; następstwem tego kroku były triumfalne wycia szowinizmu, masakra separatystów westfalskich, terror Stahlhelmu, wielka parada militarna i owacje dla starego marszałka wśród szczęku broni — słowem, święto pikielhauby pod fałdami sztandaru cesarstwa. Furor teutonicus wybuchnął, jak granat, zagrzebany w ziemi, od dnia zawieszenia broni. Wycie wściekłego psa — oto odpowiedź niemiecka na „politykę zdechłego psa" pacyfistów z pod znaku Brianda i Herriota, Mac Donalda i Snowdena.

(Dalszy ciąg na str. 22-ej)

Dalszy ciąg



Marsz. Hindenburg w Moguncji.
Pomnik oswobodzenia wzniesiony w Moguncji.



Ponurą katastrofą zakończyły się uroczy-tości w Nadrenji, i oto na widok setki tru-pów, które wyłowiono z nurtów rzeki, mar-załek Hindenburg cichaczem opuścił Koblencję. A gdy przejeżdżał przez miasto na ulicach panował słaby ruch, nie było żadnych owacyj, smutek zaległ we wszyst-kich sercach.

Reakcja ta po dniach bezgranicznej radoś-ci (no, i głośnych bójek z separatystami), wiwatowania na cześć Niemiec i jej wiel-kich mężów, którzy tak szybko zdołali podnieść kraj z upadku, reakcja po grom-kich wezwaniach do odwetu rzucanych wzdłuż szeregów Stahlhelmu tem dotkli-wiej dała się odczuć na nastrojach mas.

Ucichły nawet z radością rozsiewane po-głoski o tem, co zwiastuje wielka demon-stracja pod auspicjami samego marszałka-prezydenta.

Żałoba...

Stahlhelmowcy i Reichbannerzy rozeszli się.

Sztandary zwinięto.

I tylko po bierhallach snuli się zatwar-dziali piwosze, topiąc w potokach pieniste-go płynu swój smutek.

Żal jest doprawdy, że tak szybko minęły dni tryumfu, podczas których rozpamiętywano glorję Reszy, zwycięskiej ofiary wojny. Szkoda, że Hindenburg nie zdołał jeszcze raz zamanifestować swojej wierności Vaterlandowi i idei o duchu, która nurtuje szerokie masy, ponownie adorujące w osobie demokratycznego (?) prezydenta starą armję cesarską i jej tradycje.

A podczas, gdy żałobą napełniły się serca Niemców — z tamtej strony Renu, we Francji rozpamiętywują smutne konsekwencje polityki ustępstw.

Bo cały naród niemal — bez różnicy przekonań partyjnych, zrozumiał wreszcie, iż 1914 rok może się powtórzyć, bo ujrzano wreszcie oblicze Germanji bez przyłbicy.

Biskup dr. Ludwig Sebastjan wita marsz. Hindenburga na progu katedry moguncklej.

Tłumy ludności nadreńskiej owacyjnie witają prezydenta - marszałka.



ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Kultura adulteru, czyli przerwany wykład



O Narcyzie Szatanowiczu było głośno w mieście. Nawet małe dzieci wiedziały, że pan Narcyz Szatanowicz jest królem uwodzicieli. Tak jest. Narcyz Szatanowicz był królem uwodzicieli, tak samo, jak, przypuśćmy, Hersz Gołekopyto — królem potokarzy, Władysław de Felawy-Felawski — królem szulerów, albo Czarny Walek — królem nożowców.

Uledz Narcyzowi — nie było hańbą, tylko zaszczytem. Narcyz miał najpiękniejsze w stolicy kobiety. O jego rekordach opowiadano poprostu cuda. A zresztą, cieszył się sławą także poza granicami kraju. Wziął w Aix-les-Bains pierwszą nagrodę na konkursie tanga. W Biarritz wziął nagrodę za boston. Na konkursie tenisowym w Wimbledon siedział (coprawda, przypadkiem) obok króla hiszpańskiego, Alfonsa. Miał głośny *kolaż* z Agłają Charitonową, słynną tancerką, ex-metresą wielkiego księcia Sergjusza. Żył przez dłuższy czas z fenomenalną Fatmą Baschi-Bouzuki, ozdobą „Casino de Paris". Cieszył się względami baronowej Papatliapopoulos, tej samej, co to rozbiła w 1925 roku bank w Monte Carlo. Uchodził przez tydzień za narzeczonego amerykańskiej miljarderski, miss Arjadny Cooper.

— Czy to wystarczy?

Kiedy Narcyz Szatanowicz się żenił, był w stolicy płacz i zgrzytanie zębów. Kościół otoczyła kordonem policja. Kobiety tłoczyły się do presbyterjum, jak szalone. Słyszano głośne spazmy....

Ostatecznie, wszystko się jakoś uspokoiło. Jednej niedoszłej samobójczyni przepłukano żołądek. I Narcyz Szatanowicz zeszedł z widowni w pełnym blasku chwały, rezerwując się wyłącznie dla cichych słodyczy małżeństwa.

*

Niebawem zaczęto sobie na ucho opowiadać o pożyciu Narcyzostwa rzeczy trochę dziwne. To prawda, że Narcyz miał już lat 50, własny majątek oddawna stracił i żył wyłącznie z majątku żony: ale nikt się nie spodziewał takiego *ujarzmienia* lwa! Szeptano, że Narcyzowa Narcyza wzięła mocno pod pantofel, że Narcyz przy niej nie śmie nawet pisnąć, a gdy dochodzi co do czego, to go młoda żonka ponoć nawet łupi. Ludziom się na płacz zbierało.

— Bo pomyśleć tylko: taki lew!

Żałowano Narcyza powszechnie. Dawni rywale Donżuana, którzyby go przedtem byli radzi w łyżce wody utopić, oszukani przez Narcyza mężowie, którzyby go drzewiej widzieli chętnie na marach, zapomniawszy swoich porażek i krzywd *(mężczyźni są jednak szlachetni!)* — biadali:

— Żeby się *taki* facet *tak* pozwolił okulbaczyć! Poprostu skandal!

Robiono nawet zakłady, czy się z tej niewoli egipskiej Narcyz wyzwoli — czy nie wyzwoli? Czy się jeszcze kiedyś — bodaj jeden, jedyny raz — wypuści na łowy, czy niesławnie statusieje w jakiejś lichej partji brydża?

Zakłady stały (dla Narcyza) dość źle, lubo wszyscy przyznawali, że jest, na oko, w dawnej formie. Ruchy miał żywe, trzymał się prosto, chodził elastycznie, ubierał się bez zarzutu...

No, i któregoś dnia gruchnęła po mieście elektryzująca wiadomość, że Narcyzowa wyjechała do wód, a Narcyz, uproszony przez dawnych przyjaciół, *udzieli się* szerszej publiczności — jako prelegent. Tak jest, jako prelegent!

— Co to będzie? — pytano z ogromnem zainteresowaniem. — Naprawdę odczyt?

— Naprawdę!

— O czem?

— Narcyz będzie mówił podobno o *Kulturze adulteru.*

W wielkiej sali Filharmonji cicho było, jakby makiem posiał, gdy Narcyz, czarujący i dystyngowany, ubrany w znakomicie skrojony żakiet, ukazał się na estradzie. Po sekundzie nastrojowej ciszy zerwała się istna burza oklasków. Podziękował za nie z nieopisanym wdziękiem, stanął przy pulpicie, odchrząknął— i tak przemawiać zaczął (zerkając od czasu do czasu na leżący przed nim skrypt):

— Nie będę się powoływał na literaturę Persów i Medów, nadobne słuchaczki i szanowni słuchacze. Powstrzymam się również od zbędnych koncepcyj mojego przedmiotu. Przejdę do i rzymski *antyk*. Przejdę odrazu do nowoczesnych koncepcyj mojeg oprzedmiotu. Przejdę do naszej epoki, która słynie z tego, że kobieta udająca się na schadzkę, nie bierze ze sobą ani szczekliwego psa, ani klatki z kanarkiem ani gorsetu, z którym musi się mocować czterech siłaczów—ani tak zwanych barchanek, ani pantalonów, ozdobionych koronkami szydełkowej roboty, ani sztyletu w podwiązce, ani angielskich soli, ani amatorskich fotografji całej swojej rodziny ,ani włosów w medaljonach, ani „Illustrowanego przewodnika po st. m. Warszawie" — ani żadnej z takich rzeczy! To, co robi, robi łatwo i z prostotą, wiedząc o tem dobrze, że mężczyzna musi *pracować* i *zarabiać*, że więc tedy i jej amant może poświęcić na schadzkę najwyżej dwie godziny, chyba, żeby był żigolasem, albo warjatem. Owóż, pod takiemi auspicjami rozgrywający się *adulter* ma to do siebie...

— *Co ma do siebie?* — przerwał nagle mówcy młody, ale dziwnie ostry głos niewieści: — *Co ma do siebie???*

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę drugiego rzędu bocznych foteli, skąd się ten prowokacyjny okrzyk zerwał — i sala ujrzała niewiastę szczupłą, dosyć nawet niebrzydką patrzącą na prelegenta, jak Constrictor patrzy na gazelę.

Szatanowicz zbladł, jak płótno: oczywiście była to jego żona!

*

Dalszych niefortunnych perypetyj tej publicznej prelekcji opisywać nie zamierzam, bo cała moja męskość, cała duma, solidaryzuje się ze srodze spostponowanym Narcyzem Szatanowiczem... Powiem tylko tyle, że kiedy nieszczęsny, straszliwie zmieszany, usiłował wyjąkać następne zdanie, furja w niewieściem ciele, nic sobie z niczego nie robiąc, przesadziła jednym susem łysinę siedzącego w pierwszym rzędzie pana — i hyc! — na estradę. Szatanowicz zrobił ruch ręką — ach, Boże mój, co to był za ruch! — ale ona obcesem na niego. Wtedy on za ogromnego Bechsteina. Ona — *glissando* przez Bechsteina. On — kłusem, za organy. Ona — za nim. On — galopem do pokoju artystów. Ona — cwałem za mężem...

*

I co się tam później działo, żadne pióro nie opisze, a właściwie, byłby to już wyrafinowany sadyzm. Faktem jest że po tym skandalu Narcyz Szatanowicz zniknął, raz na zawsze, z horyzontu *Varsovie Galante*...

*

Podobno kiedy-niekiedy, bardzo wczesnym rankiem, można go spotkać w którejś z bardziej ustronnych alei Parku Ujazdowskiego. Prowadzi zwykle na spacer terjera swojej żony i nuci sobie coś pod nosem...

*

Szatanowiczowa ma głośny romans z jednym lekkoatletą.



Pod włos

NIE DO RYGI — DO GDAŃSKA!

Gdynia, Gdynią, a takie z morzem mamy ciągłe kłopoty. Tak każe polski odwieczny zwyczaj.

Nie darmo przez wieki utrzymywało się w Polsce przekonanie, że woda szkodzi zarówno w bucie, jak i w żołądku, a już nie daj Boże w głowie. Jak se szlachcic połę kontusza w kałuży zamoczył, to klął na czem świat stoi. A cóż dopiero miał mówić, gdy całej Rzeczypospolitej wspaniała szata, pozłacana pszenicą, posrebrzana żytem, jednym końcem w mokrym żywiole niechlujnie się nurzała. Horrendum!

Mówiło się od morza do morza, ale ani kroku dalej! Ani kroku, żeby, broń Boże, kataru nie dostać.

Niechaj po fluktach burzliwych hulają bałwany — Polak nie bałwan, a przynajmniej nie morski!

Więc hulał po morzach kto chciał, a Rzeczpospolita coraz dalej od jego brzegów się odsuwała. Został nam tylko Gdańsk, lecz, o Boże, i ten nas zdradził.

Co tu dużo gadać. Z nikim chyba odrodzona Polska tyle kłopotu nie miała, co z tym wyrodnym Samasynem. Matkę rodzoną po sądach włóczył, prawował się i wydrzeźniał.

Polska, jak to Polska, poczciwa jest, więc próbowała łagodzić, do rozumu przemawiać, perswadować. Na nic!

Zapomniano, niestety, już w dzisiejszych czasach starego, mądrego sposobu. Na kobierczyk bębna rozłożyć i gdzie należy harapem przeciągnąć.

Rozbisurmaniło się bencwała pobłażliwością i tyle, a teraz kłopot.

Przyzwyczajony do bezkarności, już nietylko bryka i wierzga, ale zaczyna się wtrącać w nasze własne sprawy. Więc nam już Gdyni zabrania budować!

Pan komisarz Strassburger bardzo grzecznie i układnie w eleganckiej nocie próbuje rozwrzeszczanemu pędrakowi wytłómaczyć, że mu się krzywda nie dzieje, że go się miłością otacza, że się o jego interesy dba...

Ale ja myślę, że, jak to nie pomoże, to już się trzeba będzie chyba jakiegoś radykalnego środka chwycić. Nie mówię, żeby wojna, bo przecież się much maczugami nie bije, ale jest jeden sposób, całkiem pokojowy.

Pomyślcie tylko sami: Po co to w pewnych okolicznościach jeździć aż do Rygi i Bogu ducha winnym a przyjaznym Łotyszom tyle przykrości i despektu czynić? Czy nie wygodniej i nie bliżej do Gdańska?

BONZO.

Meksyk — poezja a rzeczywistość

Wielki romantyk niemiecki powiada, że co ma odżyć w pieśni, musi zginąć w rzeczywistości. Klasycznym przykładem, że tak nie zawsze bywa — jest Meksyk. My, europejczycy, poznajemy kraj ten głównie z filmów amerykańskich jako raj wszelkich awanturników, wzburzonych namiętności, gdzie jedna połowa ludności żyje z bandytyzmu, a druga urządza rewolucje przy akompanjamencie miłosnych i bohaterskich pieśni.

Mimo przesady, jaka bezwątpienia kryje się w akcji każdego awanturniczego filmu, a filmu amerykańskiego w szczególności — przyznać trzeba, że bandytyzm jest w Meksyku rzeczą codzienną, rewolucje większe lub mniejsze zastępują uroczyste święta, a śpiew i zamiłowanie do niego słyszy i widzi się na każdym kroku bez względu na porę roku i na ogodę.

Każdego europejczyka, który przybywa do Mexico (czyt. Meksiko), stolicy stanów zjednoczonych Meksykańskich, uderza od samego ana dobiegająca z mieszkań prywatnych, placów i ulis wielodźwięczna i różnomelolyjna „la manita". Jest to porcyjka z kilku romantyczno-erotycznych ballad, które każly uczciwy Meksykanin musi obowiązkowo wygłosić tenoem, basem, czy altem jeszcze przed śniadaniem, a że i po śniadaniu, po obiedzie i wogóle przez cały dzień śpiewa przy każdej okazji i bez okazji, to już rozumie się samo przez się. Śpiew jest ważniejzy, niż posiłek.

Gdy się obserwuje takiego artystę, jednego z miljona, gdy widzi się jego pietyzm w yzelowaniu każdej nuty, ma ię wrażenie, że chyba czeka on na jakiegoś impresarjo nowojorskiej opery, czy na engagement do filmu dźwiękowego, trudno sobie bowiem sprawiedliwić tyle bezinteresownego zamiowania do melodji i dopiero można je zroumieć, wsłuchując się w tekst piosenki. W nim bowiem znajduje częściowe ujście ogomny meksykański temperament i kult dla ajtańszego choćby bohaterstwa. Większość bowiem pieśni, to ballady, zwane „los corrilos", opiewające niezwykłe i awanturnicze zyny sławnych bandytów i rewolucjonistów. Ociekają one krwią, apoteozują pogardę mierci i wszelkiego prawa. Bohaterowie tych corridos" skończyli przeważnie od kuli, noa, albo stryczka. Tak np. szeroko sławione est imię generała Emiliano Sapato Morelos, ałożyciela pierwszego socjalistycznego stanu Meksyku, osobistości bezwątpienia boharskiej, choć w pieśniach o nim zupełnie yraźnie wspomina się o niekoniecznie szlaetnem wyrzynaniu w pień księży i zakonków i o okrucieństwie względem politycznych przeciwników. Sam fakt jego śmierci rąk morderców opiewany jest szeroko i ze smakiem, jakgdyby niepowszednie okrucieństwo usprawiedliwiało każdy mord, pojedyńczy, czy masowy. Podobnie sympatycznie i ze czcią głoszą „coridos" sławę dwóch znanych w swoim czasie przywódców rewolucji, ambitnych i awanturniczych karjerowiczów, Karanda i Madur, których rozgromił i rozstrzelał generał Victoriano Huerta. Zamiast uzyskać słuszną sławę za zlikwidowanie rebelji otrzymuje on w tej samej pieśni dźwięczny epitet „krwawego psa". I wogóle dziwne, że władze meksykańskie absolutnie nie reagują na to, że w tego rodzaju pieśniach, obok dzielnych postaci jawnie gloryfikuje się zwyczajnych zbrodniarzy. Może dlatego, że w umyśle meksykańskim nader mętnie kształtuje się poczucie prawa i słuszności, a gdyby chciało się śpiewaków i autorów pieśni wsadzić do aresztu choćby na krótki czas—poprostu nie byłoby komu aresztów pilnować.

Na każdym bowiem targu, na każdym rynku i na rogach ulic stoją otoczeni tłumem gapiów i słuchaczy meksykańscy trubadurowie, opiewający miłość i nienawiść, krew i zwycięstwo. Sprzedają oni w setkach egzemplarzy pojedyńcze teksty „corridos" lub zbiórki, własnym śpiewem zachwalając własne często utwory. Piosenka, dziś ułożona, jest już jutro na ustach miasta, pojutrze stanu, a za parę dni — całego kraju. I przyznać trzeba, że choć w melodji i tekście trafiają się błędy mniejsze i większe, to jednak naogół biorąc, stoją „manitas" i „corridos" na dość wysokim, nieraz artystycznym i literackim poziomie. Odzwierciadlają one wszystkie aktualne dążenia, sympatje i antypatje wszystkich odłamów ludu meksykańskiego i urabiają nierzadko opinję ulicy, bezwiednie lub świadomie przygotowując grunt pod coraz to nowe „pronunciamentos" — rewolucje. A kult postaci awanturniczych doprowadził do tego, że bandyci meksykańscy przyjmują często miano rewolucjonistów, a różni rewolucjoniści zasilają swoje szeregi bandytami, albo, co się najczęściej zdarza, stosują czysto bandyckie metody walki.



W redakcji dziennika meksykańskiego.
Nowy współpracownik w sposób uprzejmy prosi redaktora o przyjęcie jego elegji miłosnych. *(rys. Bateman — „Life".)*

Posłuchajmy, jak o swoich przeżyciach wśród bandytów i rewolucjonistów meksykańskich opowiada jeden z niemieckich dziennikarzy. „Zostałem przez pewne amerykańskie czasopismo wysłany do Meksyku w charakterze specjalnego sprawozdawcy politycznego i już po drode szłyszałem niejasno, że tuż, za granicą, wybuchło „pronunciamento". Nigdy w życiu nie widziałem zbliska rewolucji i nie tak ją sobie wyobrażałem, jak wyglądała ona naprawdę w meksykańskiem wydaniu.

Oto wkrótce po wyjeździe pociągiem z granicznego miasta El Passo i po przecięciu napoły wyschłej Rio Grande del Norte, zostałem zaskoczony, jak zresztą i inni pasażerowie, nagłem zahamowaniem pociągu i bliskim odgłosem karabinowych strzałów. Staliśmy w okolicy kamienistej, pokrytej gęstemi zaroślami, kaktusowemi. Można sobie wy obrazić panikę wśród gości, kiedy wypadła z tych krzaków banda oberwańców i w jednej chwili obczepiła pociąg. Zamaskowane indywidua o niebardzo ujmującem obejściu wtargnęły do naszego przedziału, zabierając walizy, przyczem każdemu pasażerowi podstawiono pod nos olbrzymi bębenkowiec. Akurat w tej chwili miałem nieposkromioną chęć podrapać się po nosie, ale nie miałem ochoty z tak błahego powodu pozbyć się życia. Tymczasem bandyci zabierali się do osobistej rewizji. Jakiś amerykański bussinesman z East Side, stojąc tuż za mną, szeptał mi gorączkowo, czy nie przyjąłbym od niego pożyczki pięciu tysięcy dolarów gotówką pod warunkiem, że po zakończeniu całej awantury oddam mu trzy tysiące. Niekoniecznie miło było mi dowiedzieć się, że ktoś, kto przez całą poprzednią drogę nie zamienił ze mną jednego słowa i nie zauważał mnie, teraz ze strachu służy mi aż tak dogodnym kredytem. Nie miałem jednak czasu odpowiedzieć mu, gdyż rozdzielono nas i po skrupulatnej rewizji i ogołoceniu z rzeczy wartościowych, zaczęto nam wiązać postronkami ręce z tyłu, a potem spędzono w kąt wagonu. Ponieważ więzy ogromnie uciskały mnie i boleśnie dawały się we znaki, począłem szamotać się, aby skrępowane ręce przybrały jakąś wygodniejszą, możliwszą pozycję. Zauważył to nasz zaimprowizowany dozorca i poszeptawszy z kompanami, kopnął mnie, abym wychodził z pociągu. Mając ręce związane z tyłu, trudno zejść po stopniach wysokiego pullmana, więc nic dziwnego, że potłukłem się, a wstając z u-

(Dalszy ciąg na str. 16-ej)

MAX WIT.

ZWYCIĘSTWO

— Czy Fred Aster chory?
— Ani nawet.
— Więc...
— Więc właśnie, że jest idjota, kretyn, bałwan, cielę — wszystko, co chcesz, ale nie bokser! O, Boże! Boże! czemu mnie karzesz tak surowo, za jakie winy?!

— Słuchaj, Smith, nie deklamuj. My się znamy na takich fijołkach. Jutro o 11-ej w domu Emigrantów spotkanie, u ciebie trzy tysiące, jeśli ta walka się nie odbędzie. Nie wykręcisz się sianem, o nie, mój panie. Nie dam się wykiwać, ty, stara szujo z demobilu. Od czasu, kiedyś został menażerem tego chłystka Freda i od tej przeklętej walki z Sulivanem wszystko się wam we łbach pomieszało. Twój laluś marzy o mistrzostwo świata, które zdobywa w objęciach wszystkich dziewek z Broadway'u, a ty przypominasz jego ciotkę, chodzącą za nim z nocnikiem i kompresami, w dodatku ciotkę z pod ciemnej gwiazdy, kłamliwą i wredną „ciocię"

— Stul pysk, Dave, jeśli nie interesują cię właściwości mojej pięści. Walka jutro się odbędzie. Będziesz miał komplet, jak mi Bóg miły, ale przestań gadać, przestań, bo się urwę... a wtedy wiesz... pamiętaj, nie chcę drugi raz siedzieć za kratą... ja się zapominam, słyszysz? ja się zapominam! — powtórzył Smith z naciskiem, idąc z przegiętym bawolim karkiem i zwiniętemi pięściami do Dawa, który z oczami, wpartemi w pięści Smitha, cofał się do ściany, nie przestając mówić.

— Z Fredem, z Fredeczkiem?! u nas, na Kubie? te bagatelne parę tysięcy kilometrów! No tak, wy macie szeroki gest, może latawcem? lub na własnych anielskich skrzydełkach przyleci twój Fredzio ,laleczka. Serdeczny, daj go tu, tym razem Sulivan zapłaci za tamte podłe uderzenie w nerkę. Skonacie razem, jak dwa głodne, obite psy — ty i twój benjaminek, jak szakkk...

— Raz! wyjcu, — syknął Smith i błysnął pięścią między oczy Dava, który bezgłośnie w półsłowie przykląkł na kolana.

Smith podniósł go za kołnierz lewą ręką, posadził na krzesełku, nalał wody do szklanki i chlusnął mu w oczy. Dave drgnął, zerwał się na nogi, ale podcięty wielką łapą Smitha, opadł, jęcząc boleśnie:

— Bandyto! bandyto! Sulivan skończy z Fredem, a później z tobą. Nie jestem Dave, jeśli nie skończysz w kanale!

— Dowidzenia, Dave, jutro o jedenastej wystawię Sulivanowi przeciwnika.

— Tak, tak, Freda, lub djabła, ale muszę mieć komplet, jeśli nie chcesz zapłacić tych trzech tysięcy, zapamiętaj to sobie, galerniku!

Smith trzasnął drzwiami i stanął niezdecydowany na ulicy. Mógł nadrabiać miną tam, u Dava, ale tu, przed sobą, nie miał czego ukrywać — Fred nie przyjedzie do jutra, a gdyby nawet, to czeka go haniebna porażka. Smith wiedział, czem jest kobieta. Pamiętał dobrze te wszystkie, które go wiodły od klęski do klęski, wreszcie do zabójstwa... Zabił tamtego smarkacza w prawidłowej walce, wszyscy to widzieli, ale poco lazł do Kitty? przecież wiedział, przecież go uprzedzał... A teraz Fred znowu ginie przez kobiety. Kawał chłopa, czem dla niego był taki Sulivan, bestja od knockautu, bez zrozumienia, bez sztuki? Fred mógł zostać mistrzem świata, mógłby, a wówczas... Smith uśmiechnął się do worów, opchanych dolarami, do stert szeleszczących banknotów, w których możnaby udławić Dava z Sulivanem i wykupić wszystkie dziewczyny z Broadway'u. Ale, niestety, Fred zginie przez kiecki, jak wielu przed nim i wielu po nim. Smith wiedział doskonale, że na to niema rady — tylko kalectwo i śmierć.

Bolała go trochę ręka, którą zdzielił Dava, ale ulżył sobie, gdyby nie ten ból, zalałaby go czarna zła krew.

Co robić? Co? — pracował wszytką siłą swego umysłu, — skąd wystawić Sulivanowi przeciwnika, kto z miejscowej hołoty zechce stanąć tej bestji od knockautów? Nikt, absolutnie nikt.

W ostatniej depresji powlókł się do portu. Stanął przy dźwigu i tępem okiem ogarnął metysów, ładujących węgiel. Ocenił muskulaturę ich ciemnych postaci, krzywił pogardliwie usta na widok leniwej, niechętnej pracy.

Między tymi nie było ani jednego mężczyzny. Ich opuchnięte bicepsy nie dowodziły niczego.

— Ani jednej rundy, ani jednego uderzenia nie przyjmie z godnością takie sobacze mięso mieszańca, — tłomaczył sobie z uporem, — chociażbym mu wpychał studolarowe papierki w tę gębę parszywą.

Zupełnie machinalnie wsunął rękę do kieszeni, wymacując kilka dolarowych monet. Przesunął się jeszcze parę kroków do balustrady i nieznacznym ruchem sypnął brzękliwe srebro na szerokie, białe płyty nabrzeżnej. W jednej chwili zawrzało dokoła. Kilkanaście ciemnych, muskularnych ciał zwaliło swoje worki i pchnęło się ku rozsypanym dolarom. Każdy chciał zebrać wszystkie monety, żaden nie mógł ustąpić. Zresztą monet było pięć, czy siedem, a ludzi kilkunastu. Zwarli się z sobą, zbili w jeden kłąb, toczący po ziemi, zwał kilkudziesięciu nagich stóp i wypryskujących zwiniętych drapieżnie pięści. Odrywali się z niego ci i tamci, jak psy obite wypełzali z kręgu, liżąc i klnąc zdobyte rany.

Smith, przegięty nad balustradą, niecierpliwie gryzł fajkę.

— Bydło! — syczał — bydło! ani jednego skutecznego ciosu, ani jednego ludzkiego uderzenia. Walczą, jak baby, jak stare indyjskie megiery. — Splunął ze wstrętem czarną nasiąkłą śliną, machnął z rezygnacją ręką, ale nie mógł jeszcze odejść. Nieforemny kłąb metysów rozluźnił się niespodziewanie. Oto unoszą się czyjeś ramiona, dziwną przeświecające bielą z pod strzępów podartej koszuli. Smith przyjrzał się baczniej: to nie były ręce metysa, płynęła w nich czysta, dobra krew, to się widzi. Podniósł się właśnie. Cudnie, wspaniałem kopnięciem za siebie, odwalił obejmującego mu nogi przeciwnika. Smith uśmiechnął się z uznaniem. Tak, rozumiał, ten system miał sens.

W milczeniu runął na ciemnego, który z tępym uporem usiłował powtórzyć poprzedni chwyt. Teraz pozostali metysi w zamkniętym kręgu, czekali na wynik walki, pokrzykując i zachęcając towarzysza do bicia. Smith z zapartym oddechem czekał z głucho walącem sercem. Ale jasny nie dał się chwycić, przegiął się nagle i błyskawicowem wypchnięciem direkty uplasował cios w żołądku przeciwnika. Metys przechylił się, rażony bólem i to go zgubiło. Jasny osadził się na mgnienie i dwoma czystemi hakami wykańczał metysa. Smith dławił się z zachwytu, teraz direkta między oczy i wszystko skończone.

Rzeczywiście, jasny znał się na rzeczy, powtórnem pchnięciem w usta zwalił olbrzyma, jak kłodę. Niebieskiemi, zaciekłemi od razów oczami, rozejrzał się za swoją czapką. Spojrzał pod nogi, ale dolarów, o które walczył, już dawno nie było. Zaklął w nieznanym języku i postąpił parę kroków, bezradnie przepychając się przez ciżbę, rozstępujących się z lękiem metysów.

Smith wiedział, co ma czynić, ten chłopak rozumiał się na boksie i miał w sobie djabła, ostatnią direktą zwaliłby słup telegraficzny.

Zastąpił mu drogę.
— Hallo! poczekaj, mam dwa słowa.
Jasny przystanął.
— Amerykanin?
— Nie.
— Dawno w Ameryce?
— Dwa lata.
— Skąd?
— Z *Polski.*
— Jak, — powtórzył Smith — z Polski? Ach, wiem, — ucieszył się, Kościuszko, świetni kawalerzyści!
— Tak, — uśmiechnął się chłopak.
— Boksujesz się?
— Trochę w klubie robotniczym. Pracowałem w stalowni i w rzeźni. Po strajku straciłem zajęcie, więc tu przy węglu... Zresztą czekam na rodziców. Wezwałem ich jeszcze przed strajkiem, dobrze zarabiałem, ale teraz nie wiem. Przyjadą na Kubę, może już nawet są w domu Emigrantów. Chyba pojedziemy dalej, do Meksyku albo do Brazylji, podobno lżej o zarobki...
— Chcesz zarobić 500 dolarów?
— Jeszczeby! To się rozumie.
— Więc dobrze, jutro będziesz walczył z Sulivanem.
— A choćby z całem piekłem, mój panie. Za 500 dolarów... czegoby człowiek nie zrobił?!

— Nazywasz się zatem, powiedzmy, As Munk i przyjechałeś z New Yorku w zastępstwie Freda Astera. Jeśli się nie dasz wyciągnąć na deski w ciągu pięciu rund — pieniądze twoje. A teraz, za mną. Muszę cię trochę ubrać i domyć.

Antek, zupełnie oszołomiony, poszedł pokornie za Smithem.

———

Wieczorem Smith telefonował do Dava:
— Szykujcie się do walki. Fred zachorował. Zastąpi go As Munk. Trzymajcie się mocno. Możesz już odliczyć dla mnie trzy tysiączki.
— Kup trumnę dla twego Asa — wył Dav do mikrofonu. — Trzy tysiące otrzymuje zwycięzca, wypłacę je solidnie Sulivanowi, na pogrzebie twego nowego pupila!
I z trzaskiem odłożył tubę.

———

— Sulivan! Sulivan! — wydzierała się tłu-

OR-OT.

Sierpień

Idzie jesienny, cichy dzień,
W tęsknocie i zadumie,
Idzie jesienny, cichy dzień
W pożółkłych liści szumie.
Rozlewa wkoło dziwny czar
Milczącej melancholji,
Rozlewa wkoło dziwny czar
Mistycznej jakiejś doli.

Wiosna z płomiennych uczuć tchem,
Z barwistych wonią kwiatów,
Ta już się dzisiaj stała snem,
Wspomnieniem zniknych światów.
Choć pamięć o niej jeszcze trwa,
Ale już bledsza codzień, —
Żal tylko w sercu po niej ma
Tych ziemskich dróg przechodzień.

I lato, pełne słońca skier,
Dyszące namiętnością,
Złożyło chwiejny życia ster
I dziś już jest — nicością.
Z niewypełnionych pragnień, złud,
Cierniowy został wianek, —
Chciałeś dać zorzę, — płonny trud! —
Potrz! tli się li kaganek!

I, jako anioł w wieńcu gwiazd,
Spokojna schodzi jesień,
Zgiełkliwe ptaki płoszy z gniazd,
Uśmierza żar uniesień.
Na umęczoną bladą skroń
Łagodne kładzie ręce:
Oto jest cisza: chyl się doń,
Któryś dni trawił w męce!

Ani się w nową przyszłość rwij,
Ani się wstecz oglądaj,
Na zimnych astrach martwo śnij,
Niczego już nie żądaj!
Li z serca swego nitkę snuj,
Gdy pierś się smutkiem wzdyma,
Aż przyjdzie skończyć życia bój
Śmierć — koicielka zima..

szcza, stłoczona wokoło małej maty wyniosłego ringu, zmontowanego pośrodku ogromnej sali Domu Emigrantów.

— Sulivan! Sulivan! — rehotały zachrypłe gardła metysów, gdy ich ulubieniec przełaził sznury, zajmując swoje miejsce. Uśmiechał się do zwolenników, posyłał im pozdrowienia obandażowaną ręką. Roześmiał się na głos, gdy ktoś nazwał chorego podobno Freda lalusiem i z sarkazmem rzucił do pierwszych rzędów wieść o jego zastępcy, Asie Munku, o którym nikt nie słyszał dotychczas.

A Smith, kręcąc się dokoła swego kandydata, mówił:

— Pamiętaj nie podnoś głowy i wal go po nosie. Złamali go już dawno, ale Sulivan nie lubi tych uderzeń. Broń się, broń się dobrze, wystarczy pięć rund.

— Pamiętam...

— Ring wolny — zahuczał megafon nad głową Antka.

Smith wyszarpał z pod niego krzesełko.

— Zaczynamy! — krzyknął.

Sulivan skorzystał z pierwszych już sekund walki. Z rutyną starego, doświadczonego wyjadacza zepchnął na Antka cały grad, nietyle skutecznych, ile bolesnych i oszałamiających uderzeń. Nie mógł go zbyt wcześnie skończyć, aby nie zrażać widowni, ale mógł się z nim pobawić, to obiecywało zachwyt i aplauz tłumu, więc, jak stary pewny aktor, rozpoczął grę. Widownia wyła z uciechy. Antek speszony cofnął się z pod tego prysznica uderzeń i nabrał tchu w piersi. Młócka ta nie podobała mu się ani trochę. Skulił się zupełnie i znowu dopuścił rozzuchwalonego Sulivana na pół kroku.

— Ja ci tu zaraz pokażę... — zdecydował Antek.

Wyprężył się zupełnie nieoczekiwanie i palnął Sulivana w żołądek z nieobliczalnym impetem. Obaj runęli na ziemię, ale Sulivan podniósł się pierwszy, wściekły za cios, który mógł się źle skończyć. Czekał na chwilę, gdy Antek poderwie się z desek, aby go na nie natychmiast z powrotem powalić, ale w Antku obudzony instynkt walki dyktował już ruchy i czyny. Zebrał nogi pod siebie i zanim sędzia doliczył do siedmiu, podniósł się i cały ciężar ciała zepchnął na Sulivana. Publiczność wyła z radości: ten Asik miał spryt, ale Sulivan rutynę. W zręcznym „uniku" zostawił rozchwianego Antka i pięknym „sierpem" zepchnął go na sznury. Dzwonek... Runda należała do Sulivana.

Zaledwo Antek oprzytomniał, musiał już pójść do drugiego starcia. Zawodowiec zrozumiał że trzeba walkę skończyć. As, jeśli nie był groźny, stawał się chwilami przykry. Uderzenie z poprzedniej rundy jeszcze tkwiło gdzieś na żołądku. Nie miał powodu żałować smarkacza, rzucił się więc z całym impetem i energją, na jaką go stać było w tej rundzie. Nie pozwolił Antkowi na chwilę odsłony, plasował uderzenia po sobie coraz silniejsze, pełniejsze i szybsze. Chwilami trafiał w próżnię, wyprzedzony zręcznym „unikiem" przeciwnika, czasami mocne plaśnięcie rękawic pouczało o mądrem sensie skutecznego ciosu, Antek odgryzał się nieśmiało, uderzał rzadko, ale nie bił na oślep. Dwa razy jego pięść, jak młot spadła na szczękę Sulivana, dwa razy zapalił błyskawice szaleństwa w oczach przeciwnika i dwa razy poszedł za to na deski, zbity z nóg ofenzywą zawodowca. Ale do pięciu rund było jeszcze daleko, więc nie pozwalał się wyliczyć, chociaż po ostatnim „sierpie" w arterję szyjową stracił dech i przytomność. Zaatakował Sulivana, pełen rozpaczy na myśl o nieuniknionej klęsce, ale jego trzy ciosy trafiły w próżnię. Po chwili Sulivan miał go w rogu. Antkowi ciemniało w oczach. Dobroczynny dzwonek uratował go przecież po raz drugi.

Smith tracił nadzieję. Wypchnął brutalnie słaniającego się chłopaka do trzeciego starcia. Walka była przesądzona. Sulivan pracował jak maszyna i masakrował Antka, ledwie odgryzającego się z osłabienia. Teraz Sulivan wykańczał go zupełnie. Rozbił mu nos i puścił farbę. Fala ciepła zalała Antkowi gardło, dusił się nie mógł postąpić kroku. Tysiąc kół zawirowało między nim, a szybkiemi pięściami Sulivana, runął na nie rozbijając je głową. Z trzaskiem zwalił się na maty.

— Raz... dwa... — liczył sędzia ringowy, Brumps, — trzy...

Antek leżał rozbity, z rozkrzyżowanemi rękami. To wyglądało zupełnie źle, to nie był knockaut, to mogła być śmierć. Smith znał się na tem, Sulivan także. Takie zwycięstwo oznaczało kratę, a później dożywotnią dyskwalifikację. Smith mógłby coś o tem powiedzieć. Teraz Sulivan przeraził się nie na żarty, a jego strach i niepewność rozlała się po pierwszych szeregach. Huragan oklasków zamilkł niby odchodząca fala odpływu.

— ...Cztery... — liczył Brumps — pięć...

Wielką salę zaległa zła, martwa cisza. Dav z niepokojem spojrzał na sędziów i na komisarza policji. Twarze ich nie wróżyły nic dobrego.

— ...Sześć...

Nagle, trzasnęła jakaś pęknięta deska i ktoś zaklął głośno w ostatnich rzędach. Ktoś się przepychał i krzyczał w nieznanym języku:

— Puszczajta szwabskie mordy. Puszczajta! Chodź Jagna, chodź!

I pomarszczony chłop ciągnąc za sobą małą kobiecinę opatuloną w chusty przepychał się do ringu, na którym nieubłaganie wyliczał Brumps:

— ...siedem...

Starzy przypadli do ringu. Teraz już wiedzieli z pewnością, że tu leży ich syn.

— Antek! Antek! — ryknęli razem nieludzkim jękiem. — Antoś! podnieś się! Podnieś!

Chłopak drgnął.

Widownia odetchnęła. Sulivan sprężył się w sobie.

— Antek! — zawyła kobieta.

— ...osiem... — liczył obojętnie Brumps — ...dziewięć...

Antek błyskawicznie poderwał się na nogi i natarł na oszołomionego Sulivana. Jego skrwawiona twarz, jak maska mignęła nad ringiem.

— Antek! Antek! — wołają oboje, kurczowo wszczepieni w parapet ringu.

— Wal tego bisurmana Od lewego, chłopie! Bęc go w mordę, puść mu juchę, puść mu z pyska krzynkę posoki, że cię tak ścierwo oporządził!

A po ringu toczyły się dwa rozszalałe ciała. Padały razy ciężkie i skuteczne: „haki", „sierpy", i „proste".

— Sulivan! Sulivan!

— As Munk! As Munk!

Raz! raz! padały ciosy.

— A masz sobako! — syczał Antek. — A masz, psie parszywy!...

— Wal go, — dyktował ojciec, — Pod żebro a w mordę...

I Antek walił. Rozszalała w nim wściekłość i piekło. Bił teraz naoślep, po chłopsku. Jeszcze jedno machnięcie lewą i prawą a później „direkta" w brodę i Sulivan z hukiem leci na deski. Wszyscy wiedzą, że nie podniesie się z nich zbyt prędko.

— ...Raz... dwa... — zaczyna Brumps.

Antek szuka oczami starych. Już ich widzi.

— A przyjechali — myśli. — Jaki to majątek im dać, pięćset dolarów, mój Boże! ...dziewięć ...dziesięć...

Dav z asystentami podnoszą Sulivana. Smith wpada na ring i całuje Antka. Z widowni zrywa się huragan.

— As Munk! As Munk!!!

Smith czuje, że chłopak się słania, lecz podchwytują go ramiona ojca.

— A to go sprałeś, synku... A to go sprałeś.

— Pięćset dolarów, — szepcze chłopak. — O rety!...

Smith podchodzi do zielonego ze złości Dava, który pociesza przytomniejącego Sulivana.

— Zdaje się, Dav, żeśmy skończyli walkę. Co? jak się czujesz, Sulivan, wcale dobry z ciebie bokser, jak mamę kocham, ale nie lubię pyskaczów. Zapraszam was, panowie, na kolację. Ale wpierw, Davie — dolarki na stół!...

— Chodź, — stęka Dav, — chodź do kasy...

Wyszli. Sulivan, jak obity pies powlókł się za nimi.

Popierajcie L. O. P. P.

TURNIEJ „7-miu DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCA?

Warunki turnieju

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczane w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września — artystka, uznana za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci

Bonu na portret

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.



Lina Lubieńska *(fot. Dorys)*



Ewa Kuncewiczówna *(fot. Dorys)*

GŁOSY NASZYCH CZYTELNIKÓW

Ewa Kuncewiczówna jest uosobieniem czaru na scenie. Hołd ten powinien jej być o tyle droższym, iż złożony przez niewiastę.

W. Kowalska.

Jakże mi miło móc zwrócić uwagę na ulubienicę moją — Linę Lubieńską. Wszystkich mobilizuję do oklaskiwania każdego jej występu!

A. Rymaszewski.

KUPON Nr. 5 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.

Harem ginie!..

Marokko w lipcu.

Harem ginie! Nawet tu w Marokku, gdzie „świętokradcza" ręka Kemal - Paszy nie dosięgła tej prastarej instytucji — haremy giną, zanikają!

Każdemu, któremu uda się przestąpić progi współczesnego haremu marokańskiego, odrazu rzuca się w oczy piętno upadku, które osiada na starym domu jak pleśń.

I niema nikogo aby mógł uchronić haremy od tego.

Mężczyźni, nie mają sił po temu, gdyż stracili całą swą władzę — t. j. pieniądze. Starsza generacja nie widzi fatalnego kryzysu, a europejczycy... ci nie interesują się rozwiązaniem tego zagadnienia.

Harem skazany został na zagładę!

Zdawałoby się, że haremy mogą egzystować i w dzisiejszych współczesnych formach, że przecież podstawą haremu nie jest ani pełne lenistwa i bezczynności życie kobiet, ani miękkie dywany i poduszki, czy półmrok świateł, ale, liczba ich mieszkanek.

Sąd ten jednak jest mylny.

Harem może egzystować jedynie w atmosferze stuprocentowego wschodu. Gdy tylko do drzwi zastuka inne życie, obca kultura, cywilizacja europejska, wszystko się kończy.

A w konsekwencji widzimy dziś już tylko karykaturę haremu.

Zwiedzamy lokal, który nazywa się jeszcze haremem i który zamieszkują wyłącznie kokiety. Ale nie jest on już odcięty od świata zewnętrznego grubemi, ciężkiemi kratami i mieszkanki jego nie żyją w swoim ciasnym, zamkniętym kręgu. Jakże często przemykają przez tajne furtki, „przyjaźnią" się z europejczykami kupują swe stroje u wysłanników firm paryskich, którzy śmiało i odważnie wkraczają do nieprzystępnych dotąd sypialni.

Gdy europejka dostaje się do kręgu tych kobiet, rozmowy toczy się przeważnie o strojach, modzie i o swobodzie, która jest nieustannym przedmiotem zazdrości kobiet haremowych. A refren tych rozmów brzmi zawsze jednakowo:

— Poczekajcie, wkrótce i my osiągniemy to wszystko!

Wąpliwem jest jednak, czy kobieta arabska kiedykolwiek z własnej inicjatywy zerwie kajdany niewoli, wyzwoli się z praw haremowych i związanych z nim zwyczajami. Nie leży to w jej charakterze. Brak jej siły woli, wykształcenia, znajomości życia.

Kobieta arabska — to dziecko, które chce działać, ale nie może, nie umie.



Bezrobotni...

Na szczęście (czy na nieszczęście) działa w zastępstwie inna siła — pieniądze.

Harem - wampir wysysa ostatni grosz z kieszeni mężczyzn. Gdy więc przychodzi chwila przyjęcia na siebie obowiązków męża jednej lub kilku kobiet, mężczyzna wybiera z musu (jedynie z musu) jedną. Arab bowiem nie korzysta z miłego przywileju swych europejskich kolegów: nie tylko nie może liczyć na posag, ale musi jeszcze płacić za żonę. Małżonka „przeciętnej wartości" kosztuje w Marokku ok. 3.000 zł. na nasze pieniądze .Łatwo więc wyliczyć ile kosztuje 6, 8 czy 10 „przeciętnych" żon. A cóż dopiero w wyborowym gatunku!

Nawet średnio zamożny Arab nie może sobie pozwolić na podobny luksus, i z braku gotówki musi zrezygnować z rozkoszy haremowych.

Ale ten brak płynnej gotówki rokuje swobodę kobiecie arabskiej. Bieda otwiera jej bramy haremu i niesie nadzieje, że pewnego pięknego dnia zniknie ostatni harem, ku radości tych niewolnic, a ku rozpaczy... przewodników i romantycznych par turystów, którzy bez skutków poszukiwać będą ...wschodu.

Co się tyczy mężczyzn tutejszych to przyjmują oni upadek haremu z dwojakiem uczuciem: z jednej strony przywiązanie do starych tradycji, z drugiej — zadowolenie ze zbliżenia się przez upadek haremów do europejczyków, wobec których oddawna wstydzą się tej instytucji.

Gdyby jednak pewnego dnia, nagle wszyscy europejczycy porzucili Marokko i znowu wróciłyby „piękne, dawne czasy", gdy za parę owiec czy jednego wielbłąda można było nabyć kilka żon, niewątpliwie w bardzo krótkim czasie haremy odrodziłyby się, jak Feniks z popiołów.

Ale, cudów w naszym wieku niestety już niema i marokańczycy, którzy wiedzą o tej prawdzie, pogodzili się z myślą o upadku haremów, z nieuniknionym postępem czasu.

K.



Ciekawe zdjęcie dokonane w chwili wybuchu Wezuwjusza.

DR. MED. SZPAKOWSKI.

TERREMOTO...

Terremoto!... Wyraz ten z trwogą każdy Italczyk wymawia tylko szeptem. Wyraz ten symbolizuje najokropniejszą klęskę, *terremoto* bowiem oznacza — trzęsienie ziemi!

I dziś właśnie z Italji, tej krainy piękna i słońca, dochodzą nas żałosne wieści — *terremoto!* Zabici, ranni, domy zniszczone. Tysiące ofiar...

Ze strasznego obrazu kataklizmu, który nawiedził obecnie Italję, i z pośród wszystkich okropności wyłania się na pierwszy plan postać człowieka, oszalałego ze strachu. Wrażenie to udzielało się wszystkim, co byli świadkami podobnych kataklizmów. Począwszy od listu Plinjusza Młodszego, który tak artystycznie odtworzył trzęsienie ziemi i wybuch Wezuwjusza w roku 79-tym po Chrystusie, poprzez późniejsze opisy podróżników i kronikarzy, poprzez Voltaire'a, który w swej powieści „Candide" odmalował trzęsienie ziemi w Lizbonie w roku 1755-ym, aż do najnowszych — ściśle naukowych badań, wszędzie góruje obraz — człowieka obłąkanego.

Jednem z najlepszych dzieł z tej dziedziny jest praca Brusiłowskiego, Bruchańskiego i Segałowa, którzy biorąc udział w specjalnej komisji lekarskiej zbadali skutki trzęsienia ziemi na Krymie w roku 1927-ym. Widzimy z tego sprawozdania, że nietylko człowiek, lecz nieomal wszystkie zwierzęta gwałtownie reagują na tę klęskę żywiołową, najokropniejszą ze wszystkich. Zachowanie się zwierząt charakteryzuje przedewszystkiem niepokój i podniecenie. Stwierdzono to u owiec, osłów, krów, koni, a nawet u żółwi. Ryby oddalały się od brzegów. Kury usiłowały latać. Zaobserwowano nawet wypadek kompletnego osłupienia pewnego ptaka. Szczury wylegały na ulice i place, nie zważając na to, że ludzie deptali po nich. Koty wykazywały objawy prawdziwego szału, kręcąc się wkoło. Psy nie odchodziły swych panów, drapały łapami i obwąchując ziemię szczekały na nią; zauważono też u nich wymioty, w dwuch wypadkach zaś psy rzuciły się do morza, odpłynęły daleko i długo nie chciały wracać. Niektóre zwierzęta wreszcie, a zwłaszcza koty, już na parę godzin przedtem przeczuwały zbliżającą się katastrofę.

A człowiek?... Stwierdzono u niemowląt jedynie płacz i wymioty. Im człowiek starszy, tem jaskrawiej występują objawy psychiczne. I dopiero u dorosłego człowieka obserwujemy w całej pełni następstwa okropnego wstrząsu, jakim jest trzęsienie ziemi. Niema literalnie ani jednego narządu, ani jednej czynności ciała ludzkiego, któreby mogły nie ulec temu urazowi. Skala zaburzeń jest ogromna — od najlżejszych do ogólnego spadku na wadze, niedowładu kończyn, głuchoty, ślepoty, osiwienia, ciężkich objawów psychicznych, a nawet śmierci. Niezmiernie ciekawy opis własnych przeżyć podał jeden z lekarzy - neurologów:

„Staram się odtworzyć w pamięci moment zasadniczych, najsilniejszych wstrząsów; jest to bardzo trudne. Czas działania — sekundy, miejsce—dwa pokoje na 1-m piętrze: w pierwszym śpię sam, w następnym dwie moje siostry; drzwi z pokoju do pokoju otwarte. Pamiętam, że zerwałem się przy pierwszym wstrząsie i spuściwszy nogi z otomany, pomyślałem... trzęsienie ziemi... czy będzie jeszcze... czy budzić siostry... jak to zrobić, żeby ich nie przerazić... I nie pamiętam, czy zajęło to ułamek sekundy, czy więcej; nastąpił najstraszliwszy drugi wstrząs. Świadomość zwęziła się do minimum... zmieniają się w niej kolejno ułamkami raz przebłyski... raz osłupienie z instynktownym automatyzmem ruchów. Słyszę przez otwarte okno straszliwy huk z gór... domem huśta i targa, podrzuca... wszystko trzeszczy, jak marne pudełko od zabawek, wszystko wnet runie... Dźwięk tłuczonego szkła, naczyń... trzaskanie okien... hałas spadających przedmiotów... Świadomość nie jest w stanie ogarnąć i przetrawić takiej ogromnej ilości niezwykłych i jednocześnie działających podrażnień. Organy zmysłów odbierają wrażenia niewyraźnie... wiele nie dochodzi do świadomości, podrażnienia trafiają głównie przez organ słuchu (szmery...) i drogą niezwykłą (ze względu na jej charakter) — stawowo — mięśniową (huśta, targa, podrzuca). Wzrok przy świetle księżyca nie odróżnia szczegółów... Pamiętam, jak ściskało coś w piersiach, jak czyniłem niesłychane wysiłki, ażeby opanować się. Rzuciłem się aby otworzyć drzwi wyjściowe... dalej — do pokoju sióstr — obudzić... Lecz i one nie spały. Starsza moja siostra, słusznego wzrostu przemknęła przez pokój... Dzikie okrucieństwo jej panicznego krzyku (słyszałem taki po raz pierwszy w życiu) miesza się z hukiem trzęsienia ziemi... Chwytam ją za ramiona: spokojnie — usiłuję perswadować — to trzęsienie ziemi... uciekaj... Ucichło, pobiegła ku wyjściu, rzucając mi na odchodnem — obudź Marysię!... Lecz w drugiem pokoju... już cicho. Siostra moja Marysia zgrabnie umknęła, owinięta kołdrą. Dom drga w gasnących podrygach... Zalega złowroga cisza... W drugim pokoju szukam pod stołem pantofli, szperam, śpieszę się, nie znajduję. Znów gdzieś wsunęły... zawsze tak nieporządne — pomyślałem o siostrach. Znalazłem wreszcie. Włożyłem na nogi, śpieszę do pierwszego pokoju... przez otwarte drzwi wpada z krzykiem kobieta... ktoś napół ubrany... czynię rękami obronno - wstydliwy gest — jestem zupełnie nagi. Postać znika... w milczeniu. Ubieram się..."

Ten niezwykle barwny opis odtwarza nam zasadniczy moment wstrząsu psychicznego. Jakże reaguje na to człowiek? Jednocześnie z innemi objawami, jak zawroty głowy, nudności, bicie serca, bladość twarzy, ogólne osłabienie, ogarnia człowieka strach, przerażenie. Powstaje panika. I tu właśnie rozwijają się najrozmaiciej u różnych osobników, słabsze czy też silniejsze objawy psychiczne. Wszyscy niemal ulegają zaburzeniom snu, zdolność do pracy wybitnie zmniejsza się, ludzie zaczynają odczuwać nieistniejące wstrząsy podziemne. Lęk wszystkiego. Człowiek nie dowierza niczemu. Boi się zasnąć, boi się powrócić do własnego domu, boi się ziemi i jednocześnie morza, boi się samotności, lecz również i tłumu, który przypomina przeżytą niedawno panikę. Wreszcie najsilniejsze może uczucie — trwożne wyczekiwania czegoś okropnego, czegoś nieokreślonego, co ma nastąpić.

Czy uczucia te — lęku, paniki, obawy przed niebezpieczeństwem wynikają jedynie z przyczyny strasznych skutków trzęsienia ziemi? Nie, przyczyna leży o wiele głębiej. Od najwcześniejszego bowiem dzieciństwa człowiek przyzwyczaja się do pojęcia, iż ziemia stanowi coś nieskończenie trwałego i nieruchomego. Całe późniejsze doświadczenie wszystkich zmysłów utwierdza nas w tem przekonaniu. Ziemia, jako symbol słabości, stanowi kontrast w stosunku do ruchomości wód — morza. I nagle wiara ta zostaje zachwiana. Tracimy zaufanie do ziemi. To właśnie stanowi zasadniczy moment przeżyć człowieka podczas trzęsienia ziemi, co zresztą wypowiedział już Aleksander Humboldt w swym „Kosmocie". Falowanie ziemi, którego wysokość może dochodzić do kilkudziesięciu metrów (!), niweczy w jednej chwili nasze najistotniejsze zasady. Ta ziemia, która stanowi, zdawałoby się rzecz stałą — faluje, rusza się, drga, przeistacza w szalejący żywioł. Człowiek dosłownie *traci grunt pod nogami!*

I na tem polega dramat psychiczny...



Ludność miast i miasteczek italskich zburzonych podczas trzęsienia ziemi wynosi z narażeniem życia resztki swego dobytku.



Halina przepada za marynarzami.

JIM.

Raj nad Bałtykiem



To nie szalbierstwo, nie reklama dla towarzystw okrętowych czy kąpielowych. To czysta prawda. Czytelniku do płci brzydkiej należący! Jeśli śniły ci się kiedy sukcesy Don Juana czy Casanovy, — pakuj manatki i jedź nad polskie morze. Tam urzeczywistnisz to, co ci się dotąd marzeniem wydało:

Jeszcze chyba nigdy „urodzaj" na płeć piękną nie był na wybrzeżu tak obfity, jak w tym roku. Zjechały się ze wszystkich stron kraju w tak obfitej liczbie, że w portowej Gdyni na jednego „poborowego" mężczyznę wypada niewiast cztery, a w pobliskiej Jastarni dziewięć, przecinek, trzy. Jednem słowem — raj Mahometa.

Przedstawię wam tu kilka „plażowych" typów — do wyboru:

Ziutka. Wiośniana postać w mundurku skautki. Ale oczy kobiety. Podchorążowie marynarki cieszą się jej specjalnemi względami. Świat zaczyna się i kończy na nich. Z innymi nie rozmawia.

Pani Regina. Nieco już leciwa, ale w pretensjach. Ubrana — dernier cri. (Mąż ma „łokciowy interes" na Bielańskiej). Pozuje na syrenę. Mundur oficera marynarki wywiera na nią wpływ ekscytujący. Złośliwi twierdzą, że leci „z mokrą ścierką" na jakiegoś kawalera.

Halinka. Smukła blondynka lat 22. (Strzeż się kobiety, która wyznała ci prawdziwy wiek. Kobieta taka będzie w stanie wyznać ci wszystko).

Zresztą nieszkodliwa. Spokojna, małomówna, grzeczna. Pasjami lubi tańczyć — milcząco. Ma się wrażenie, że „chciałaby a... boi się". Mama — nieodłącznie w arjergardzie.

Marylka. Mała szatynka — wiek niewiadomy. Pół - Vamp. Mówi, że lubi się kąpać nago i nocą marzyć na cmentarzu. Przepada za typami demonicznemi. Choruje na „niesamowitość". Zresztą nie można jej namówić do najmniejszej ekstrawagancji, a przy byle głupstwie wstydzi się jak szkolny żaczek. Sporo inteligencji, acz zbakierowanej.

Pani Katia. Przeciąga muzykalnie i naciąga bezlitośnie. Stuprocentowa Rosjanka. Niema dla niej nic świętego: ojczyzna, religja, miłość — to w jej usteczkach frazesy. Próżna, pusta i leniwa. Pozornie wielki temperament, — w rzeczywistości zimny, wyrafinowany potwór. Należałoby nosić przed nią tablicę Michelin'a: *Attention, tournant dangereux*, lub jeszcze lepiej... *descente dangereuse*.

Dziuba (w papierach Józefa). Blondynka około 25. Wygląda na znacznie więcej. Maszynistka lub telefonistka, ale „robi hrabinę" z szykiem prowincjonalnej szansonetki. Opowiada (czy kto chce czy nie chce słuchać), że ma wuja pułkownika i szwagra kawalera maltańskiego. Tolerują ją w towarzystwie, mimo *manque de conversation*. A nuż pułkownik zostanie jutro ministrem?...

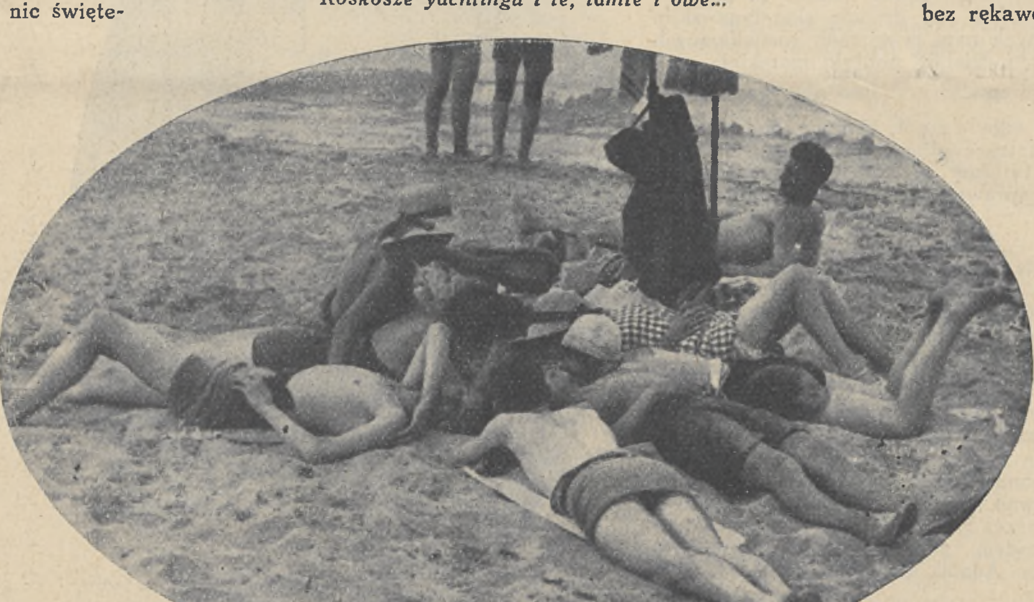


Roskosze yachtingu i te, tamte i owe...

Pani Janeczka. Nazywa sama siebie zdrobniale, choć wcale drobną nie jest. Wiek mocno balzakowski, — mówi oczywiście, że w październiku skończy trzydziestkę. Początek *embonpoint* i drugiego podbródka. Obiadu nie jada — to psuje linję. Za to ciastek i słodyczy bez liku. Pali jak saper. Mówi jak dragon. Mąż — kapitan artylerji (trzydniowy urlop) wygląda przy niej jak niewinne dziecko.

Tosia. Vamp całkowity. W dzień śpi, w nocy grasuje po dancingach. Pije szampana i krew ludzką (w postaci pieniędzy). Włosy hebanowe z odcieniem rudawym. Suknia czarna, bez rękawów. Kształty i ruchy żmiji. Mówi, że ma *engagement* do Holywood i że się urodziła w Paryżu. Naprawdę pochodzi z drohobyckiego ghetta i jest rozwódką po jakimś łódzkim krezusie, któremu dochody z trzech fabryk nie wystarczyły na pokrycie zachcianek pięknej pani. Biedak spostrzegł się w końcu, że lepiej późno niż wcale i spławił swój skarb.

Teraz opiekuje się Tosią spółka akcyjna złożona z jednego rotmistrza, dwóch złotych młodzieńców i pewnego gdańszczanina. Niebawem będzie wolne miejsce, bo rotmistrz robi bo-



Dolce farniente.

(Dalszy ciąg na str. 16-tej.)



Wspaniałe uroczystości z okazji stulecia Belgji, w których wzięła udział rodzina królewska, ściągnęły do Brukseli dziesiątki tysięcy ludzi z całego kraju.

Co słychać na świecie

Społeczeństwo nasze, a zwłaszcza nasze koła handlowo-przemysłowe winny zwrócić uwagę na wywiad p. ministra Kwiatkowskiego po powrocie jego ze Skandynawji, gdzie p. minister podkreśla, iż wobec naszych trudności eksportowych w kierunkach wschodnim i zachodnim tem większego znaczenia nabiera nasz wywóz poprzez granicę morską, jak i w kierunku południowym.

W stosunkach naszych ze Skandynawją powinniśmy brać pod uwagę nie cyfrę ludności, ani obszar tych państw, ale bardzo wysokie walory ich organizacji gospodarczej, ich wybitne zdolności produkcyjne i handlowe. Nawzajem, dążyć powinniśmy — my z kolei — do przełamania przywar naszego świata handlowego, jak np. zbyt powolne udzielanie odpowiedzi zarówno przez nasze organizacje gospodarcze, jak i instytucje państwowe, które też stosują niejednokrotnie drobne utrudnienia natury formalnej, niezrozumiałe wprost w państwach skandynawskich. Na terenie tym winniśmy też zwalczać nieprzyjazną nam propagandę obcą, — niezależnie od której jednak p. minister w wycieczkach swych stwierdził na gruncie skandynawskim i belgijskim licznych oddanych nam przyjaciół, rozumiejących dokładnie wartość naszej samodzielnej polityki morskiej.

*

W ministerstwie skarbu odbyło się d. 26 lipca, pod przewodnictwem p. min. Matuszewskiego, posiedzenie komitetu, powołanego do reformy systemu podatkowego. Na posiedzeniu tem omawiano sprawę jednolitej ordynacji podatkowej.

*

W d. 25 lipca odbyła się w ministerstwie rolnictwa konferencja organizacyj, reprezentujących rolnictwo oraz przemysł rolny. Stanowi ona dalszy ciąg narad, jakie się odbyły w maju i czerwcu w sprawie polityki kredytowej, zbożowej i handlowej.

*

Z głosów prasy zachodnio - europejskiej o Polsce, wartoby podnieść artykuł senatora Rollanda w „Ere Nouvelle", gdzie czytamy, że gdyby Polacy nie byli tak skromni, mieliby niejedną okazję przypomnienia w ciągu obecnych lat 10, że idea Ligi Narodów, zarówno jak i myśl o unji państw europejskich, była podnoszona przez Polaków już od szeregu stuleci. Sen. Rolland cytuje przytem nazwiska króla Stanisława Leszczyńskiego, Staszica, ks. Adama Czartoryskiego i Hoene-Wrońskiego.

Samokrytycyzm w wiarę — możnaby tu dodać pod własnym naszym adresem — jest rzeczą dobrą: pobudza do doskonalenia się; samokrytycyzm nadmierny—odbiera wiarę we własne siły.

*

W Polsce gości ostatnio belgijski minister komunikacji p. Lippens, który po zwiedzeniu wystawy komunikacyjno-turystycznej w Poznaniu i jednowniowym pobycie w Warszawie, udał się w drogę powrotną przez Gdynię, dokąd towarzyszył naszemu gościowi p. min. Kwiatkowski.

*

Król Belgów Albert, nadał p. ministrowi spraw zagranicznych, Augustowi Zaleskiemu wielką wstęgę orderu Leopolda.



Czy król egipski Fuad zdoła utrzymać władzę — niewiadomo, a sytuacja w Egipcie zdaje się pogarszać.



Młodziutka Księżniczka [illegible]ka Charlotta zajechała sama w karocy dworskiej do p[illegible] w którym odbywały się uroczystości z[illegible] stulecia Belgji.



Jeden z weteranów lotnict[illegible]lenn Curtiss, zdobywca pierwszego puhara Gordon Be[illegible] w r. 1909 zmarł w Ameryce w[illegible] lat 52.



Z pilotów polskich, biorących udział w raidzie awjonetek, Stanisław Płończyński pierwszy przyleciał do Warszawy.

Straszny kataklizm trzęsienia ziemi, którego pastwą padły cztery prowincje italskie wywołał ogólne współczucie na całym świecie. Olbrzymie sumy napływają codziennie dla poratowania ofiar katastrofy.



W prezydjum rady ministrów odbyła się d. 22 lipca konferencja, poświęcona sprawom gospodarczym woj. pomorskiego. Na konferencji tej, w której wziął udział p. wojewoda pomorski Lamot i delegaci poszczególnych ministerstw, przedyskutowano memorjał rady zrzeszeń gospodarczych Pomorza. Umyślna komisja międzyministerjalna przygotować ma wnioski w sprawach, poruszonych w tym memorjale.



Gościem naszym na Wystawie Komunikacyjnej w Poznaniu był belgijski minister komunikacji p. Lippens.

W cytadeli poznańskiej odbyło się w ub. niedzielę odsłonięcie pomnika p. marszałka Piłsudskiego, ufundowanego przez oddział wojska, stacjonowany w cytadeli.

*

W międzynarodowym turnieju szachowym w Hamburgu Polska zajęła pierwsze miejsce.

*

Budżet Rzeszy niemieckiej, ogłoszony dekretem prezydenta Hindenburga, jest deficytowy. Niedobór, wynoszący 760 miljonów marek, pokryty ma być z funduszów, jakie wpłyną z podwyższonych składek na fundusz bezrobocia; dalej zużyta ma być na ten cel danina urzędnicza, dodatek do podatku dochodowego i świeżo wprowadzony podatek ,jakim obciążono bezżennych.

*

Na Ukrainie, na tle podziału zbiorów w gospodarstwach skolektywizowanych, chłopi tworzą większe oddziały zbrojne, które napadają na komuny, podpalają zboże i mordują komunistów. W Trypolu pod Kijowem włościanie wymordowali miejscowy sowiet i ogłosili, iż gmina nie uznaje ustaw sowieckich.

W poszczególnych miejscowościach Z. S. S. R. uczestnicy gospodarstw zbiorowych stają na stanowisku. iż uprawiać ziemię i siać można było wspólnie, ale zbierać należy osobno, socjalizacja ziemi nie jest, jak widzimy, rzeczą łatwą!

*

Na niemieckim G. Śląsku 20 proc. górników jest bez pracy. Zarządy miast Bytomia, Gliwic i Zabrza oraz pow. bytomskiego domagają się od państwa zasiłków, katastrofa bowiem przechodzi ich siły.

*

Stan rzeczy w Egipcie zaoszczył się do ostatecznych granic. Na tajnem posiedzeniu parlamentu postanowiono wezwać ludność do niepłacenia podatków, jednocześnie zaś partja wafdystów chce zmusić króla Fuada do abdykacji. Rząd usiłuje stłumić zaburzenia siłą; Kair i inne większe miasta przepełnione są wojskiem.

*

B. litewski premjer i minister spraw zagranicznych p. Waldemaras został wywieziony z Kowna na wieś pod Kretyngę, gdzie przebywać ma rok, pod dozorem policji. W Kownie podobno aresztowanie i wywiezienie niedawnego dyktatora kowieńskiego nie wywołało większego wrażenia.

P. Waldemaras ma obecnie prawo zawołać z piersi, przepełnionej goryczą: „tak przemija chwała świata!".

*

Z uwięzionym wciąż Gandhim dwaj hinduscy działacze polityczni odbyli konferencję, na mocy zezwolenia wicekróla. Na konferencji też wysunięte konkretne propozycje kompromisu, przyczem Gandhi byłby zwolniony z więzienia i wziąłby udział w konferencji „okrągłego stołu" w Londynie.



Arcyksiążę Habsburg-Bourbon (na lewo) wraz ze swym mechanikiem.

JERZY LEWESTAM.

„Challenge" — Międzynarodowy Konkurs Awjonetek

Sobota dn. 26 lipca. Lotnisko cywilne. Pogoda mocno niepewna z ustawicznemi opadami i wiatrem.

Tłumy osób. Dziś zapowiedziany jest przyjazd pierwszych awionetek. Warszawa czeka.

Na wielkiej czarnej tablicy wypisują ostatnie wiadomości. Niemiec Poss i trzej brytyjczycy Butler, Broat i Thorn wylądowali przed chwilą w Poznaniu. O polskich lotnikach niewiadomo jeszcze nic pewnego.

Wielkie gigantofony dźwięczą jakąś śmiesznie wesołą melodją, mającą skrócić chwile oczekiwania. Nagle melodja urywa się.

Silny niesamowicie brzmiący głos odzywa się. *Hallo! Tu Aeroklub Rzeczypospolitej! Challenge international de tourisme! Przed chwilą lotnik angielski Butler skapotował łamiąc śmigło. Lotnik niemiecki Poss wystartował do Warszawy.*

Tłum poruszył się. Padają pytania. Co? Jak? Czy złamane śmigło uniemożliwia dalsze współzawodniczenie w konkursie?

Jakiś niewielki pan w szarym garniturze wymachując rękoma łapie jednego z komisarzy Aeroklubu za rękaw.

— Panie, panie szanowny. Anglik zostanie? Co?

— Prawdopodobnie pojedzie dalej. Posłaliśmy mu nowe śmigło Fokkerem, ale to mu niewiele pomoże, gdyż warunki konkursu są nieubłagane. „Wolno zmieniać tylko te części, które się ma z sobą".

— Psia krew, co za pech!

— Ma pan też się czego irytować. To dla nas przecież lepiej— wtrąca ktoś z boku.

Wolno mijają kwadranse. Tłum zaczyna się denerwować. „Wieści! Za wszelką cenę wieści".

*

Zawarczał silnik na pełnych obrotach.

Gaz!

Junkers potoczył się po szmaragdowej murawie lotniska.

Powoli zatoczyliśmy koło nad hangarami, namiotami Aeroklubu.

Mignęły nam jeszcze gdzieś w dole maszty upstrzone flagami państw biorących udział w konkursie. Zaczerniło się mrowie oczekujących w dole ludzi. I wszystko znikło porwane wirem rwącego naprzód płatowca.

Dachy, kominy, wreszcie otwarte pole.

Nagle pilot wyciągnął rękę.

— Tam!

Ujrzałem maleńki zbliżający się punkt.

Lecą!

Pierwsza awionetka „Callenge", awangarda międzynarodowego stada ludzi - ptaków.

Nasz Junkers w ostrym wirażu wziął kurs prosto na nich. Niebawem byliśmy blisko. Pilot nasz wykonał powitalną „beczkę".

Poss nie odpowiadał. Nie miał czasu na lot figurowy. Rwał naprzód ze świstem stalowych linek.

Wyprysnęliśmy w górę.

B 8 podobna była do wielkiego motyla.

Zgrabnie szła z wiatrem do lądowania.

Siadła wreszcie witana hucznie brawami tych w dole.

*

Dnia tego wylądowały w Warszawie jeszcze dwie awjonetki brytyjskie Thorn'a o godz. 19.15 i Broat'a 19.09.

Obie w doskonałej formie.

*

Ranek 27 lipca obfitował w przyloty.

Prócz trzech wyżej wspomnianych awjonetek siadły na lotnisku płatowce: Morzik (Niemcy) B. 3., Pasewaldt (Niemcy) D 1, Butler (W. Brytanja) K 5, Finat (Francja) M 2, i arcyksiążę Habsburg - Bourbon T 5 (Hiszpanja).

Ciężki jest zawód dziennikarza.

Wszędzie nas było pełno. Każdy lotnik biegnący z rulującej jeszcze maszyny do stolika, na którym stała pieczęć zegarowa zasypywany był pytaniami.

— Czy się panu dobrze leciało?

Odpowiadał „Yes", „Ja", albo „Oni" zależnie od okoliczności, patrząc na nas wzrokiem duszonego jagnięcia.

*

Arcyksiążę Habsburg-Bourbon wyskoczył lekko ze swej wysmukłej T 5.

— De l'essence! — zawołał.

Zbliżyłem się do niego.

— Jak się wasza książęca mość czuje w powietrzu? — zapytałem.

— Doskonale.

— Tak, że zdaniem pana lotnictwo jest stosownem zajęciem dla Habsburg - Bourbonu?

— Lotnictwo przynosi mi jedynie zaszczyt, jest to zajęcie, które kocham nadewszystko.

— Brawo, a gdzież przesądy rodowe?

— Poooszły w powietrze! — śmieje się książe.

— Czy pan będzie o nas pisał w prasie polskiej? — pytał dalej błękitnokrwisty lotnik.

— Tak!



Komisja techniczna bada na lotnisku stan awionetek

— Pozdrowienia z Hiszpanji dla polskich kolegów. Pan nie zapomni?

— Nie, z całą pewnością.

*

Po południu przyszły jeszcze trzy maszyny. Carberry (Anglja), Arrachard (Francja), Poelte (Niemcy).

O godz. 18.22 sfrunęła na lotnisko niemiecka awjonetka B 8, pilotowana przez p. Dinard.

O polskich lotnikach głucho.

Nagle zupełnie niespodzianie odzywa się gigantofon.

— *Hallo! Polska awjonetka P 2 por. Bajana wylądowała o godz. 18.38 w Poznaniu.*

I radość ogarnęła tłumy. Nie jest tak źle. Odpadł Orliński, odpadł Żwirko, ale jest za to Bajan i podobno Płonczyński leci do Poznania.

Polacy zrobili 1600 klm. w ciągu jednego dnia.

*

Poniedziałek rano.

Wbrew przewidywaniom Płonczyński przyleciał pierwszy. Siadł sobie lekko wśród hucznych braw. W pół godziny później przyleciał Bajan.

— Jakie mamy szanse zwycięstwa? — pytam.

— Nie umiem panu tego powiedzieć — odpowiada por. Bajan — szybkość niczego nie dowodzi, lecz bądźmy dobrej myśli.

*

Awjonetki lądowały. Startowały. Tłum cieszył się. Martwił. Żegnał odlatujących w stronę Królewca lotników.

Jedną rzecz muszę jednak stanowczo sprostować.

Wiadomość podana przez niektóre dzienniki jest fałszywa.

Nieprawdą jest aby lady Bailay natychmiast po wylądowaniu miała sobie upudrować nosek...

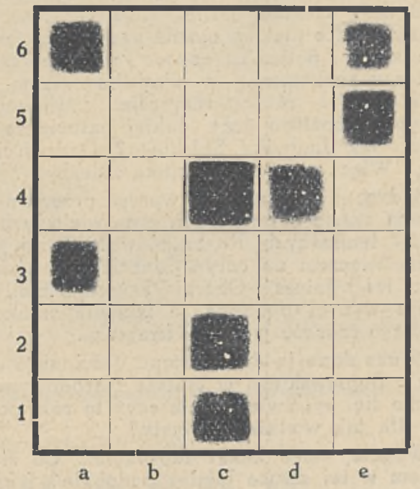
Uczyniła to dopiero w pięć minut po odnotowaniu czasu i załatwieniu formalności paszportowych, czem dowiodła, że i piękne panie pilotki wysokiej klasy cenią wyżej lotnictwo nad własną urodę.



Piloci biegiem podążają do maszyn. Każda sekunda droga...

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA SYLABOWA



Znaczenie słów pionowych

b6 Uosobienie
c6 Napój
d6 Próżniacy
a5 Stolica państwa europejskiego
e4 Rodzaj czynności cięcia
d3 Śmiałek
a2 Ciało lotne.

Znaczenie słów poziomych

b6 Materjały krawieckie pewnego gatunku
a5 Czynność związana z praniem
a4 Upomina (inaczej)
b3 Historyczne stowarzyszenie młodzieży
a2 Skrzynia
d2 Strefa
a1 Słuszna teza
d1 Instrumenty muzyczne.

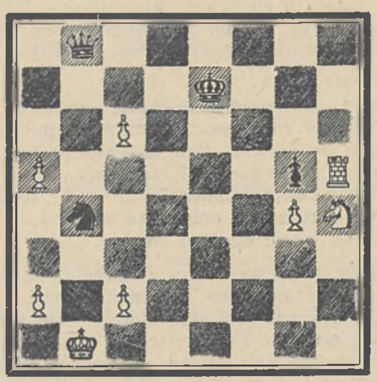
NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego N-ru przeznaczamy nagrodę do rozlosowania w postaci

25 zł. nagrody

oraz 2 książki beletrystyczne. Rozwiązania nadsyłać należy do redakcji z napisem na kopercie: „Rozrywki umysłowe". Termin do dnia 13 sierpnia b. r.

STUDJUM
Henri Rinck, Barcelona.



Białe zaczynają i wygrywają.

1. Wh5—h8!!

Czarne nie mogą wziąć wieży wobec szacha skoczkiem na g6. Z tego samego powodu nie mogą pójść damą na e5, na f4 i na h2. W razie Hg3 rozstrzyga szach na f5. Więc

1..... Hb8-b5
2. Sd4-f5+

W razie odejścia królem na e6 białe szachują na d4, zaś w raze Kf7 szach na d6! Jedyna odpowiedź

2..... Ke7-f6
3. Wh8-h6+, Kf6-e5
4. Wh6-e6+, Ke5-f4

Oczywiście, nie można wziąć wieży wobec sf5-d4+

5. We6-e4+

i białe zmuszają króla do wzięcia wieży, poczem następuje tragiczny szach skoczkiem na d6.





Dziennikarz w roli „dobrego króla" Henryka IV

O dziennikarzach mówią — nie bez pewnej słuszności, że są to niebezpieczni ludzie, gotowi każdej chwili przypiąć komuś łatkę. Tę zaiste ludzką słabostkę panów z prasy, traktować należałoby raczej jako jednem z objawów, nieodłącznych, że tak powiem — od „fachu".

W tym też zapewne sensie zrozumiał taki figiel dziennikarski b. minister finansów p. Henry Chéron, którego pewną słabość wykorzystał znany dziennikarz paryski.

Jeden z ostatnich numerów berlińskiego Tageblatt'u przytacza głośną w swoim czasie anegdotkę.

Henry Chéron „minister oszczędnościowy", jak go zwą rodacy, jest postacią nader popularną w Paryżu: nikomu nie jest obca jego krępa, tęga figura i jowialna twarz.

Przed laty 20 p. Chéron zajmował stanowisko podsekretarza stanu w ministerstwie wojny i w tym to charakterze podsekretarza odznaczał się w wysokim stopniu cechą, która za naszych czasów stała się swojego rodzaju rzadkością.

Otóż zwykł on niesłychanie gorliwie, od czasu do czasu oficjalnie, częściej zaś incognito, odbywać inspekcje po urzędach lub koszarach, niczem Harun el Raszyd.

Chéron — Raszyd z duszy i serca pragnął być popularnym, udawało mu się to, niestety, w mniejszym stopniu, niżby chciał. Nieszczęściem, pewien mały szczegół rozwiewał incognito pana ministra, odznaczał się bowiem już wówczas dość wydatną częścią, którą u nas w epoce Reja nazywano żywotem.

Po tym właśnie szczególe żołnierze i urzędnicy w mig poznawali Harun el Raszyda.

Pewnego razu gorące marzenie pana ministra o popularności miało się ziścić w sposób całkiem nieoczekiwany: na przeciąg całej nocy stał się tematem rozmów, ba, przedmiotem nawet uwielbiania całej załogi 5 bastjonu w pobliżu Porte d'Auteuil. Było około północy. Żołnierze spali właśnie snem sprawiedliwym, gdy nagle mocno zadźwięczał dzwonek u furty. Sierżant, pełniący służbę, zawiadomił po chwili oficera inspekcyjnego o wizycie pana ministra.

Zbudzeni ze smacznego snu synowie Marsa, klęli na czem świat stoi, mimo, w przeciągu kilku minut na podwórzu ustawiły się wszystkie kompanje we wzorowym szyku. Surowy pan Chéron nie miał nikomu nic do zarzucenia, był, słowem, bardzo zadowolony, czego nie omieszkał zakomunikować komendantowi. Kończąs swe przemówienie, Chéron Raszyd zadał obecnym pytanie:

„A wiecie wy też, moi kochani, jakiemi słowy odezwał się do księcia de Savoie król Henryk IV?

Trudno wymagać od ludzi, wyrwanych po nocy z głębokiego snu, by sobie przypominali czasy historyczne, nie należy się przeto dziwić, że nikt z obecnych, nie wyjąwszy p. porucznika, nie mógł sobie przypomnieć tych budujących słów.

Pan minister uśmiechnął się łaskawie, na znak, iż go nie gniewa podobny brak pamięci i wyręczył swych podwładnych, sam przytaczając pamiętną cytatę o dobrym królu Henryku IV, który pragnął, by każdy z jego poddanych miał na niedzielę kurę w garnku.

Żołnierze na wspomnienie o tym przysmaku, oblizali się całkiem niedwuznacznie, a Harun el Raszyd kontynuował swą rzecz temi słowy:

„W nagrodę, żem wszystko zastał u was we wzorowym porządku, każdy żołnierz z 5 bastjonu dostanie jutro na obiad kurę w rosole oraz butelkę wina Anjou."

Poczciwy minister jeszcze dalej posunął swą wspaniałomyślność do dobrego króla Henryka IV.

W końcu minister wzniósł okrzyk na cześć Francji, którzy obecni ochoczo podjęli. Z większym jednak entuzjazmem, nieustającemi okrzykami „Vive Monsieur le Ministre" żegnali odchodzącą ekscelencję, póki ten w towarzystwie swego adjutanta, równie jak i jego pan w cywilu — nie zniknęli za furtą bastjonu.

Ranek ma to do siebie, że budzi człowieka ze słodkich często snów do mniej słodkiej rzeczywistości. Ta ostatnia okazała się tym razem bardzo niemiłą.

Dziwnym zbiegiem okoliczności dla obu stron: zarówno dla wzorowych szeregowców z V bastjonu, jak i ministra Chéron—Raszyda, którego popularność tej nocy doszła do szczytu

(Dalszy ciąg na str. 16-tej).

Meksyk—poezja a rzeczywistość

(Dokończenie ze str. 5-tej)

padku, zauważyłem jeszcze, że jakaś pani, patrząca na moje wyprowadzenie, zemdlała. Kilku zbirów popędziło mnie w gęste, kłujące zarośla, popychając i kopiąc od czasu do czasu. Potem ustawili się w zamknięte koło i wziąwszy mnie do środka, poczęli okładać mnie pięściami, śmiejąc się serdecznie, gdy obijałem po nich, aby z każdej strony otrzymać pchnięcie, które mnie rzucało po całym obwodzie stanowczo nie miałem do czynienia z dżentelmeńskimi przeciwnikami. Kiedy wreszcie posiniaczony upadłem, rozcięli mi więzy i jeden z nich wyrżnął mnie z całych sił po głowie kolbą olbrzymiego pistoletu. Naturalnie, zemdlałem, a kiedy ocknąłem się zmęczony i pobity, był już zmrok. Z trudem podniosłem się i powlokłem w kierunku toru, ale pociągu już nie było, a słupy telegraficzne na dużej przestrzeni powyrywano i poprzecinano druty. Noce meksykańskie są bardzo chłodne, nic dziwnego też, że zmarzłem bardzo i tylko głód i zmęczenie uśpiły mnie wreszcie znowu. Obudziło mnie rankiem dudnienie szyn. Jakiś pociąg nadchodził w pędzie. Stojąc na torze krzyczałem ze wszystkich sił i machałem zdjętą z siebie postrzępioną marynarką. Zatrzymał się. Z pierwszych wagonów wyskoczyła gromada strojnych ludzi w uniformach. Rewolucjoniści. Pełno ich było w całej długiej ciężarówce, a wewnątrz wagonów aż dusił zaduch podłego tytoniu i potu. Nie bardzo wierzyli mojemu odpowiadaniu, ale zabrali do oficerskiego wagonu i dali szklankę wódki, którą upiłem się z miejsca i zasnąłem znowu. Obudziłem się wkrótce i opiekunowie moi nakarmili mnie, poczem dali w rękę karabin, uzbroili i bez ceremonji zaliczyli do jednej ze swych kompanij. Nie próbowałem nawet protestować, bo po doświadczeniach z ubiegłego dnia stałem się przezorniejszy, a głowa bolała mnie długie kilka dni od uderzenie bandyckim bębenkowcem w ciemię. Nie łagodziły bólu ciągłe śpiewy rewolucjonistów, którzy mieli niewyczerpany repertuar piosenek o bohaterskich bojach jakichś generałów, z jakimiś prezydentami i naodwrót.

Tegoż samego dnia „stoczyliśmy" bitwę z armją rządową. Ja, naturalnie, przy pierwszem starciu rzuciłem broń, bohatersko uciekając w bezpieczne miejsce. Nie miałem o co i z kim walczyć. Ale mocno zdziwiłem się, gdy ujrzałem, że wielka część moich towarzyszy broni — rewolucjonistów uczyniła to samo. Strzelanina trwała dość długo, ale straty z obu stron były niewielkie. Po długich tarapatach odzyskałem wolność, przybyłem do Mexico i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu usłyszałem na wstępie już jakąś nową pieśń, sławiącą bohaterskie zmagania się rewolucjonistów z ostatnich walk z armją rządową".

E. S.

Czy wiecie że...

...aby zatrzymać pociąg pośpieszny, należy użyć siły dwa razy większej, niż dla wprowadzenia go w ruch.

*

...niedźwiedź w ciągu całego okresu zimowego nie je, leżąc w stanie pół-czuwania. Niedźwiedzica natomiast rodzi nawet małe w tym okresie, i co najciekawsze, karmi je własną piersią, podczas gdy sama nie przyjmuje żadnych pokarmów.

Raj nad Bałtykiem

(Dokończenie ze str. 11-tej.)

kami, niczem własny jego koń po *„par force"*. *Avis aux amateurs,* — chociaż nie radzę...

Irenka. Stworzonko pozornie naiwne. W rzeczywistości bestja na cztery nogi kuta, sprytna i zjadliwa. Z cicha pęk. Podobno pisze powieści.

Pani Krystyna. Oczy orzechowe, postać wdzięczna, całość *très langoureuse.* Mieszka stale w leśniczówce pod Końskiem, prowadzi auto, czyta ostatnie rozprawy filozoficzne. Wcale nie przemądrzała. Gdyby nie teściowa, co jak smok strzeże wierności małżeńskiej... (obliż się, Czytelniku).

Alusia. Dziewiętnastoletnie dziewczę, ładne, wiotkie, ale niestety... niemiłe. Zupełnie przewrócone w głowie. Pomieszanie pojęć: dobre jest złem i naodwrót. Kinomanja, dancingomanja, flirtomanja. Zepsuli *„to-to"* mężczyźni, których słusznieby ochłostać należało. A przecież durni, sami na tem cierpią.

Milady. Nie nazywam z imienia, bo tak niebanalne, że możnaby zgadnąć... Pani o wysokiej rasie i wielkiej dystynkcji. Mimo to swobodna i wesoła. *Très sport.* Wstaje o siódmej, gra w tennisa, jak Zuzanna Lenglen, pływa jak Anita Borge, prowadzi yacht jak Wiktorja Heriot, tańczy jak anioł. Jeżeli wszystko inne równie doskonałe... zazdroszczę szczęśliwcowi... Zresztą *honni soit qui mal y pense.*

I tysiąc innych wszelkiego wieku, urody, autoramentu. *Le bataillon de Cythére* w komplecie. Mężczyzna przyjeżdżający na nasz bursztynowy brzeg czuje się jak sułtan w haremie.

*

Jeżeli po tym feljetonie nie wzmoże się frekwencja męska w pociągach i samolotach zdążających do Gdyni, to niech mnie kule biją. Boć stare polskie przysłowie powiada: z kobietami źle, ale bez kobiet... jeszcze gorzej.



Panna Hanka Ordonówna została zaangażowana na sezon jesienny do Qui Pro Quo. (fot. Brzozowski)

Impresje teatralne

Teatr Narodowy: „Interes przedewszystkiem", sztuka w 3 aktach Oktawjusza Mirbeau.

Bywają czasami takie zagadki teatralne... Teatr bardzo piękny, można powiedzieć „pierwsza scena polska"... autor pierwszorzędny... aktorzy znakomici... a wszystko razem jakoś „nie tego"... Może reżyserja szwankowała? Czyż to możliwe przy takiej batucie reżyserskiej, jak Ludwika Solskiego? Oczywiście, że nie... Więc, może sama sztuka „niezbyt"?

Sądząc z pozorów — wprost przeciwnie. W swoim czasie był to jeden z największych sukcesów teatralnych. Rozbrzmiewało wszak przed ćwierćwieczem na całym świecie: „Les affaires sont les affaires". Obecnie zaś sam Emil Jannings wybrał podobno tę właśnie sztukę dla swojego tournée po kilku krajach...

U nas dano ją dla występu gościnnego Junoszy - Stępowskiego w teatrze Narodowym. Rozumie się, był świetny, ale czyż to rola popisowa dla tak wielkiego artysty?

Wogóle, same znaki zapytania... Co się ludziom w tej sztuce kiedyś podobało? I czyżby była już aż tak przestarzała? Akcji niemal żadnej, problematy nieciekawe, ludzie nieinteresujący: ani demony zła, ani anioły dobroci. Cóż ostatecznie komu tak bardzo zawinił właściciel wielkiego dziennika, że go uznano za takiego rekina „interesów"? Robi sobie normalne kanty, jak wszyscy ludzie z „forsą" i zmysłem do „interesu" oraz znaczniejszą dozą „szczęścia w handlu". A już córeczka jest zupełnie denerwująca... Cierpi, proszę Państwa, że ma biedaczka za dużo pieniędzy, nie chce ich, źle się z niemi czuje... W tem miejscu rozległy się jakieś niesamowite dźwięki... To śmiały się konie dorożkarskie na rogu Wierzbowej i Trębackiej i to tak donośnie, że aż w teatrze było słychać...

Ktoś mówił tak: umyślnie wystawili tę sztukę w celach propagandowych. Ludziska jęczą i gderają, że monetarnie jest słabo, że krótkowzroczność w narodzie straszliwie się spotęgowała, bo większość od dłuższego czasu już grosza nie widzi... Otóż macie tu dowód, że pieniądze nie dają zadowolenia, przeciwnie córeczka tego Hearsta czy Rothermere'a bardzo się martwi, że jest bogata, aha...

Co w tej sztuce się kiedyś podobało? Co dziś jeszcze się może podobać? Niech kto pójdzie i mi powie. Byłbym doprawdy szczerze wdzięczny... Przy okazji zaś przekona się, że Junosza - Stępowski jest niezrównanym mistrzem nietylko gry, lecz i charakteryzacji, że Gorczyńska bohatersko burzy się przeciw nadmiarowi pieniędzy, że Jarszewska jest rzeczywiście znakomitą artystką i, że cała reszta zespołu dokłada heroicznych wysiłków, aby publiczność nie zasypiała, co im się niekiedy, ale tylko niekiedy — udaje...

Henryk Liński.

Dziennikarz w roli „dobrego króla" Henryka

(Dokończenie ze str .15-tej).

Żołnierskie marzenia o kurach oraz winie Anjou, rozwiał ranek „jak sen jaki złoty", a pan minister?...

Ten ostatni miał w Paryżu swego sobowtóra, o którego istnieniu oczywiście nie wiedział: był nim znany dziennikarz paryski, podobny jak brat bliźniaczy do Henry Chérona. Dziennikarz, jak każdy prawdziwy Francuz, miał wybitnie rozwinięty zmysł humoru, znając swoich rodaków, a szczególniej paryżan, przepadających za dobrym kawałem — pozwolił sobie w ten sposób zażartować z członka rządu.

Dziennikarz odniósł, jak widzieliśmy, zupełny sukces, nietylko w V bataljonie: nazajutrz wiadomość rozeszła się lotem ptaka po stolicy i Paryż śmiał się jak to tylko on potrafi.

Psi figiel uszedł tym razem na sucho. Dziś obydwaj panowie z prasy pozostają we wzorowej zgodzie z rządem, ochota do żartów jakoś ich odeszła.

Pan Chéron, będąc później ministrem finansów słynął z tego, iż wcale a wcale popularności nie pragnął, a wdzięczni rodacy przezwali go „ministrem oszczędnościowym", co daje duże pole do rozmysłów.

HENRYK LEŚNIEWSKI.

RABKA

„Raj dziecięcy" i stacja klimatyczno-lecznicza dla... mam, ojców i dziadków

Rabka, 23 lipca.

Rabka zapobiega i leczy dzieci w najważniejszych, najcharakterystyczniejszych wypadkach chorób dziecięcych, posiada bowiem słynne zdroje solankowo-jodo-bromowe, co łącznie z właściwościami klimatycznemi zupełnie wyjątkowemi, bo położeniem podgórskiem (480—560 m. nad poziomem morza) oraz warunkami terenowymi, czyni ją przedewszystkiem niezastąpioną dla dzieci i młodzieży w wieku szkolnym, również jednak cenną dla starszych.

„Rajem dziecięcym" najzasłużeniej nazywana, jest ta stacja ratownicza miejscowością wyjątkowo piękną, o klimacie łagodnym, pełną ludzi miejscowych uprzejmych, interesujących się pacjentami w sposób, u nas w „Królestwie" nie wszędzie spotykany. Nie mam tu na myśli specjalnie Zarządu, nie, bo to jest zrozumiałe, i naturalne jako u ludzi kultury, ale ci ludzie, wśród których się ***mieszka***, u których się ***kupuje*** (niczego tu nie brak i nikt tu nie „zdziera"!) — a przedewszystkiem ci wszyscy, którym się pacjentów, d z i e c i *zawierza!*

Dlatego to, jeśli ktoś do Rabki sam jechać z dziećmi nie może, niechaj je zawierzy kolonji lub pensjonatowi — dziecko mu tu uleczą, ozdrowią i wesołe, silne do domu powróci! Ludzie tu jakby dostosowani są do kojącego, wzmacniającego klimatu, do krajobrazu, radującego oczy, duszę ludzi miasta.



Poświęcenie drogi Rabka — Zaryte — Kraków.

Ale Rabka, która doniedawna była tylko „badem" dziecięcym i gościła u siebie towarzyszące dzieciom mamy, dziadków, nie chcących się z wnukami rozstawać, stała się od kilku lat ulubioną miejscowością również starszych, którzy tu znajdują pomoc dla swych dolegliwości. Jest tu hydropatja dla nich, kąpiele, okłady borowinowe, kąpiele jodowo-solankowe, gazowe, djatermja i t. p.

A ileż dobrego daje skołatanym nerwom ów klimat Rabki, gdzie poza tymi zabiegami leczniczymi, piją ludzie, oprócz solanki miejscowej, wszelkie wody mineralne kontynentu.

Drogi są tu w stanie bardzo dobrym. Jakaż radosna jest np. ul. Nowy Świat wśród lasów świerkowych, pełnych malin leśnych i poziomek! Nowa droga: Rabka—Zaryte—Kraków i Rabka—Krynica, wybudowane przez Komisję Zdrojową, ułatwia znakomicie połączenie z Krakowem (1½ godz.!) i Krynicą (2½ godz.) Poświęcono ją kilkanaście dni temu.

Bardzo dobra orkiestra pod dyr. p. Wrońskiego uprzyjemnia pobyt kuracjuszom „Milusińskim", jak ich nazywał pierwszy — ś. p. Marjan Gawalewicz) — jest miłą rozrywką dla starszych...

Pensjonatów od najwykwintniejszych (np. „pod Orłem") do skromniejszych — mnóstwo. Najdroższe nawet nie są... drogie. Szczęśliwy to zakątek w kraju naszym, leczący niezawodnie, niezawodny dający wypoczynek!



Na kolonji dziecięcej w Rabce.



GEORGE M. SAVILLE.



Pocałunek

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Irena Guarry, żona przemysłowca lyońskiego, zostaje odwiedzona przez młodego La Salla. La Salle, żegnając się, zaczyna ją całować. Na to wchodzi mąż Ireny i rzuca się na młodzieńca. Irena chwyta bezwiednie za rewolwer i zabija męża. Podczas śledztwa Irena oświadcza, że mąż popełnił samobójstwo.

Rozległ się odgłos wystrzału. Irena drgnęła. Książka, którą trzymała, wypadła jej z rąk. Podniosła ją szybkim ruchem i trzymała kurczowo w trzęsących się niby w gorączce rękach. Rzuciła krótkie badawcze spojrzenie na mężczyznę klęczącego na podłodze przed lustrem. Powstał. Cała jego postawa mówiła, że opinja jego pozostała ostatecznie ustalona w tej chwili.

Irena patrzyła za nim, gdy mijał próg, a gdy już odgłos jego kroków zamilkł, wstała bezwiednie, opierając się o ścianę. Przez chwilę chwiała się, jakby jej nogi odmawiały posłuszeństwa. Potem przeszła się po pokoju i padła znowu na kozetkę z cichym jękiem. W godzinę później była aresztowana za zabójstwo męża.

IV.

André Dubail szybko szedł korytarzem z dozorcą więziennym u boku. Twarz jego wyrażała natężenie siły woli i uwagi. Nie mógł zapanować nad nerwami o tyle, by nie zasypywać dozorcy gradem pytań, dotyczących sprawy Ireny Guarry. Ten zaś onieśmielony obecnością wielkiego prawnika, o którym nieraz czytał w pismach, był bardzo grzeczny i tylko lekkiem podniesieniem ramion zaznaczał swą nieświadomość, dodając uprzejmie po każdem pytaniu: „Doprawdy, nie mam pojęcia, jak rzeczy stoją".

— Oto jest cela pani Guarry — rzekł dozorca, — siostra Felicja sprząta teraz właśnie i dlatego drzwi są otwarte. Ale zechce pan wejść i zaczekać sekundę, ona już kończy i zaraz będzie pan mógł swobodnie się rozmówić ze swoją klijentką...

Dubail, z drżącem sercem wszedł do celi. W pierwszej chwili nie widział nic prócz Ireny, siedzącej na skromnej kanapce, z głową opartą o ścianę. Potem bystrem spojrzeniem ogarnął celę i stwierdził, że była ona słoneczna i niepozbawiona komfortu, że kwiaty, które był przysłał, umieszczone zostały w wazonach z wodą, że na stole stała bombonierka z cukierkami. Sprzątająca zakonnica wyglądała sympatycznie.

Irena wstała i patrzała na wchodzącego. Z twarzy jej nie mógł odgadnąć, czy ucieszona była jego widokiem, czy też przeciwnie. Ujął jej ręce i z głęboką miłością i czułością w głosie i wejrzeniu, rzekł:

— Ireno, przybyłem, jak tylko mogłem najprędzej. Pojechałem pierwszym pociągiem, jaki odchodził. Ale nie pozwolono mi widzieć cię przed dniem dzisiejszym. A tak pragnąłem być przy tobie.

Irena spokojnie cofnęła rękę, wiał od niej chłód. Dubail nie zauważył tego i mówił dalej:

— Ciebie oskarżyć! — mówił z uniesieniem — taką jak ty kobietę... absurd!... to się w głowie nie mieści!

Uporczywe jej milczenie zwróciło przecież jego uwagę. Zauważył, że doznaje raczej zimnego przyjęcia. Zdumiony tą postawą, przysunął się do niej i zdziwionym głosem spytał łagodnie: co to znaczy, Irenko, nic nie masz mu do powiedzenia?

Irena odparła lodowatym głosem:

— Nie, nie mam nic do powiedzenia. Byłabym wolała cię tu nie widzieć.

Dubail odsunął się. Poważnie wyrzekł:

— Ależ, Ireno, przyjechałem ci pomóc... bronić cię. Któż ma bardziej odemnie prawo ogłosić twą niewinność?

— A co się stanie z twym świętym honorem... nie obawiasz się, że będzie on poważnie zagrożony twem przystąpieniem do mej sprawy?

Dubail czuł się dotknięty jej sarkazmem, ale odpowiedział szczerze, panując nad wzbierającemi uczuciami gniewu i żalu:

— Ireno, zaszczytnem jest dla mnie bronić każdego człowieka, fałszywie oskarżonego. Tem dumniejszy będę, broniąc ciebie, istoty, tak dobrej i subtelnej, tak niezdolnej do wszelkiego czynu występnego.

Irena odwróciła się od niego, by ukryć łzy, cisnące jej się do oczu. Wzruszona była jego wiarą w nią. Dubail, podnosząc głos mówił dalej, coraz bardziej poruszony:

— Szczęśliwy jestem dzisiaj, żeśmy ongiś postąpili, jak należało i że dzięki temu mogę być twoim obrońcą.

Irena była do głębi wstrząśnięta i nie kryła się już z tem: łzy rzęsiste spływały po jej bladych, wychudzonych policzkach.

— Zastawiłbym duszę własną za twą niewinność! — mówił Dubail i dodał: — musisz mnie upoważnić do działania w charakterze twego radcy prawnego.

Irena, tłumiąc łkanie, wyraziła zgodę. Dubail uśmiechnął się i znów ujął ją za rękę.

— Musisz mnie poinformować dokładnie o wszystkiem — rzekł — opowiedz mi całe to zdarzenie z wszelkiemi szczegółami... jedynie na mocy znajomości całkowitego przebiegu wypadków mogę cię bronić.

Irena zawahała się i znów odsunęła się od niego, oczy jej rozszerzyły się przestrachem, jakby ją dręczyły własne myśli. Wreszcie wyrzekła głosem, zdradzającym wewnętrzne cierpienie:

— Ty też przyszedłeś męczyć mnie pytaniami.

Dubail zaprotestował czule. Oczy jego miały błagalny wyraz. Irena nie mogła się oprzeć jego szczerej chęci dopomożenia jej i rzekła:

— No, dobrze, cóż ci mam powiedzieć?

Siadając na łóżku i zmuszając łagodnym ruchem Irenę, by siadła przy nim, Dubail odpowiedział:

—Powiedz mi, co zaszło owego wieczoru?

Przez chwilę Irena zawahała się znowu, jakby w niemożności przywołania wspomnień. Potem zaczęła mówić. Naogół opisała Dubail'owi dokładny przebieg fatalnego wieczoru, aż do momentu, kiedy Piotr ją pocałował. Tu przerwała opowiadanie na chwilkę, poczem ciągnęła dalej:

— Wkrótce po odejściu Piotra, zgasiłam światła w buduarku i udałam się do mojej sypialni, by się położyć. Usłyszałam odgłos motoru, zatrzymanego przed bramą ogrodu, a potem słyszałam kroki mego męża, jak wchodził w progi domu. Zdawało mi się, że słyszę, jak wchodzi do swego gabinetu i zapala światło, ale nie byłam pewna. W chwilę później zgasiłam światło u siebie i usnęłam. Musiałam spać przeszło godzinę, zanim służący mnie obudził, mówiąc, że pan Guarry odebrał sobie życie.



Najpiękniejsza mężobójczyni. (fot. Metro).

— Czy znasz jakikolwiek powód jego samobójstwa? — zapytał Dubail.

— Żadnego.

— Musiał być powód. Dowiem się jaki, zanim staniesz przed sądem. Prokurator mianowicie opiera się na twierdzeniu, że Guarry nie miał żadnych powodów do popełnienia samobójstwa. Musimy znaleźć istotną przyczynę. Prawda tak zawsze ciężko waży na szali sprawiedliwości, że nie możemy nie wygrać sprawy. Nie obawiaj się niczego.

Siostra Felicja wróciła w tym momencie ze słowami:

— Przykro mi bardzo, Monsieur, ale nie wolno nam zostawiać odwiedzających w celach dłużej jak godzinę.

— Ale ja jestem adwokatem pani — protestował Dubail.

— To obojętne — odparła siostra Felicja. Dubail musiał odejść.

W drzwiach serdecznie i uspokajająco uścisnął ręce Ireny i rzekł:

— Nie poddawaj się depresji. To wszystko minie niezadługo, będziesz znowu wolna — wolniejsza niż przedtem, gdyśmy rozmawiali w ogródku.

Uśmiechał się i Irena nie mogła nie odpowiedzieć mu uśmiechem i szczerem, dobrem spojrzeniem.

— Bardzo jesteś dobry dla mnie, — rzekła na pożegnanie.

— Nie potrzebujesz się obawiać niczego — rzekł Dubail już na korytarzu, odwracając się ku niej. — Będzie to wszystko niebawem tylko złym snem, niczem więcej!

Wiadomość o aresztowaniu Ireny pod zarzutem zabójstwa uderzyła jak piorun w La Salle'a. Czytając pierwszy nagłówek: „Samobójstwo Charles de Guarry'ego", wydał westchnienie ulgi i sądził, że wypadki biorą obrót pomyślny. Obecnie rozmyślał nad nową postacią rzeczy: nie mógł pozwolić na powieszenie Ireny za to, że ocaliła życie jego synowi, — czuł się taki stary, zmęczony! Oparł się łokciami o biurko i nie ubierając się, w pyjamie i rannych pantoflach, zaczął list do syna. Zdążył napisać:

„Drogi synu,
W ostatnich kilku dniach..."

Maczał pióro, by nakreślić następne słowo, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich Piotr, blady i drżący, z walizką w ręku.

Na widok syna, La Salle odłożył pióro i surowo spojrzał na młodego człowieka, stojącego na progu, bez ruchu i w milczeniu.

— Co ty tu robisz ? — zapytał.

Piotr postawił walizkę i wszedł do pokoju. Stanowczym głosem odpowiedział:

— Nie mogłem znieść tego dłużej. Przyjechałem, by się rozmówić z sędziami śledczymi.

— Brawo! — zawołał stary La Salle z gorzką ironją w głosie. — Pyszna myśl... i cóż zamierzasz powiedzieć sędziemu?

— Powiem mu prawdę.

La Salle wzruszył ramionami i zaśmiał się. Bębniąc nerwowo palcami po biurku, rzekł gniewnie, panując nad wzbierającą irytacją o tyle tylko, by nie być słyszanym z zewnątrz:

— Wszystko to jest wierutnem głupstwem. Dziecinny, niezrównoważony odruch impetyka, warjata! Czy pomożesz swej przyjaciółce tem, że powiesz prawdę?

Piotr stał nadąsany. Nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Po chwili rzucił się na fotel ojcowski i zaczął łkać i szlochać. La Salle na ten widok zmiękł. Kładąc rękę na ramieniu syna, rzekł:

— Powierzysz mi tę sprawę?

W kilka tygodni później siostra Felicja układała kwiaty w wazonach, w celi Ireny. W kącie, przed lustrem, Irena upinała swoje długie i gęste włosy.

— Pan Dubail zaraz tu będzie — rzekła siostra — zauważyłam, że zawsze odwiedza panią w czwartki.

— Tak — rzekła Irena krótko.

W pobliskim sklepie Dubail kupował przysmaki dla Ireny. Pożywienie więzienne było smaczne, ale proste, Dubail zaś dbał o to, aby młoda kobieta była zaopatrzona w przekąski i słodycze, zaostrzające apetyt i uprzyjemniające jej choć trochę te ciężkie chwile, przed zbliżającym się dniem rozprawy sądowej.

— Czy nie mógłbym dostać poziomek? — pytał właściciela sklepu.

— Są, ale bardzo drogie. Poziomki we wrześniu są w cenie pereł.

— Niech pan zapakuje.

Kupiec przyniósł koszyk poziomek, każda jagoda owinięta w watę. Dubail był zachwycony. Wiedział, że Irena lubiła poziomki i cieszył się z góry przyjemną niespodzianką, jakiej dozna.

Ale Irena nie uradowała się tym prezentem. Wbrew jego oczekiwaniom zjadła kilka poziomek, a potem odsunęła je zniechęconym ruchem. Dubail, który przyniósł ze sobą akta sprawy, by trochę popracować tu, w ciszy jej celi, podniósł głowę z nad papierów:

— Nie oceniasz jakoś dobrych rzeczy, których ci dostarcza pan Dubail?

Irena podjęła swoją ręczną robotę, którą odłożyła na chwilę, by zająć się jedzeniem jego darów i pochylając się nad nią, odparła z ironią:

— Jeżeli ci się wydaję niewdzięczną, żałuję bardzo.

Dubail nic nie odpowiedział, ale jasnem było, że poczuł się urażony jej postawą. Jakkolwiek przyjęła jego usługi i pozwoliła mu pracować nad obroną, nie stała się milsza względem niego osobiście. Ażeby ukryć swe uczucia, Dubail wskazał Irenie jakiś dokument do podpisu. Podniosła się i podeszła do stołu, przy którym pracował. Gdy podpisywała, oczy Dubail'a spoczywały na niej z wyrazem nieopisanej czułości. Gdy skończyła, zwróciły jej uwagę dochodzące ją dźwięki orkiestry; podniosła głowę. Poszła do okna, aby wyjrzeć. Dubail z żalem na nią spoglądał. Rozumiał jej smutne myśli. Poszedł do okna za nią i wyglądał przez jej ramię na ulicę, której ona, niższa wzrostem, nie mogła dostrzedz ze względu na wysokość okien więziennych. Na ulicy dzieci tańczyły. Ażeby i ona mogła je zobaczyć, Dubail ujął Irenę za łokcie i podniósł ją tak, by głowa jej wznosiła się ponad poziomem parapetu.

Irena długo patrzała przez kraty, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że Dubail ją trzyma. Zetknięcie fizyczne z Ireną, w zestawieniu z jej systematycznem ignorowaniem jego uczucia, zaczęło mocno działać na niego. Gdy ją postawił na podłodze, walczył między smutkiem a silnym pociągiem ku niej. Namiętność zwyciężyła: porwał ją w objęcia i ucałował, cisnąc do piersi. Zaskoczona i nie mając się na baczności, poddała się jego wzruszeniu. Zanim się opamiętała, wycałował namiętnie jej usta.

Siła pocałunków przywróciła Irenie przytomność. Gwałtownym ruchem odepchnęła Dubail'a. Stali przez chwilę naprzeciw siebie, dysząc i spoglądając na siebie z niemałem zakłopotaniem. Milczeli przez kilka minut. Dubail w końcu zrobił ruch, oznaczający zachwyt i upojenie, a Irena zwolna powróciła do swego kącika i usiadła.

Niecierpliwym gestem porwała swoją robótkę i zaczęła gorączkowo przeciągać igłę i z powrotem. Dubail stał przez chwilę i patrzał na nią, poczem usiadł przy stole i zajął się również swoją pracą. Tak pozostali do końca jego bytności: on pracował, ona szyła. Dwa razy Irena spojrzała na niego, gdy miał głowę pochyloną nad aktami; było to spojrzenie tajemnicze, nie do odgadnięcia.

V.

Proces pani Guarry o zabójstwo męża zapowiadał się sensacyjnie. Gazety niejednokrotnie powtarzały, że jest to najpiękniejsza zabójczyni nowszych czasów. Już to samo wystarczało dla ściągnięcia tłumów.

(D. c. n.)

Zgon zasłużonego artysty

WACŁAWA SZYMANOWSKIEGO

Przed kilkoma dniami zmarł znany artysta rzeźbiarz i malarz, autor pomnika Chopina w Al. Ujazdowskich — Wacław Szymanowski. Ur. w r. 1859 w Warszawie — już w latach szkolnych zdradzał duże zdolności artystyczne — to też po ukończeniu, gimnazjum, zajął się nim Cyprjan Godebski i podobnie jak Chełmońskim, szczerze się nim zaopiekował. W Paryżu, w pracowni Godebskiego, studjował zmarły artysta rzeźbę przez 5 lat, poczem na krótko wstąpił do paryskiej Ak. Sztuk Pięknych na kurs pr. Delaplancha.

W r. 1880, ulegając namowom znanego malarza, Alfreda Kowalskiego, porzuca rzeźbę, poświęcając się niemal wyłącznie malarstwu. W tej dziedzinie zyskuje szybko znaczne sukcesy.

Przeniósłszy się z Paryża do Monachjum na kurs prof. Beuezura i Löffra — wystawia wkrótce szereg dobrych płócien o motywach z życia górali i huculów, w Warszawie, Krakowie i Lwowie.

Za „Kłótnie huculów" otrzymał w r. 1888 złoty medal w Monachjum, zaś za to samo malowidło na powszechnej wystawie w Paryżu, duży medal złoty. Jego „Powrót z kościoła" wystawiono na pierwszej wystawie pałacu des Beaux Arts w Paryżu w r. 1890—w tym samym czasie zakupiło muzeum miejskie w Savanah jego „Kłótnie huculów".



Ś. p. Karol Szymanowski, twórca pomnika Chopina.

(fot. Ryś)

Około r. 1900 przerzuca się artysta ponownie na rzeźbę. W Secesji wiedeńskiej wystawia w tym roku 4 rzeźby — później zaś w Pradze i Wiedniu całą kolekcję rzeźb, z których „Improwizację Mickiewicza" zakupiło Muzeum Narodowe w Krakowie. W r. 1902 rzeźbi pomnik Grottgera dla Krakowa, następnie zaś swemi rzeźbami „Macierzyństwo", „Czikos" etc. i bronzowemi karjatydami, przeznaczonemi na nagrobek dla Ojca Świętego, zdobywa znaczny sukces w paryskich i berlińskich salonach sztuki. Marzeniem artysty było stworzyć wielką kompozycję figuralną, jako dekorację dziedzińca zamkowego na Wawelu.

Zamiar ów urzeczywistnił wkrótce ś. p. Szymanowski komponuje swój „Pochód na Wawel", lecz rzeźba ta, ze względu na styl i charakter prac rekonstruktorskich w zamku, na Wawelu stanęła. Ś. p. Szymanowski reprezentował bowiem impresjonizm w rzeźbie, który to styl nie harmonizował z wczesno renesansową strukturą Wawelu. W roku 1927 otrzymała Warszawa pomnik Chopina jego dłuta, wiele zaś jego prac zdobi muzea krajowe i zagraniczne.

Ś. p. Wacław Szymanowski, jako szczery i kulturalny artysta, pozostawia po sobie dobrze zasłużone imię wielkiego twórcy.

Zapisujcie się do L. O. P. P.

NA KANWIE PROCESÓW.

DWIE MATKI

Miał cztery lata, kiedy mu ojca zabrali.

Nikt w domu nie mówił dokąd, ale chłopcy z podwórza oświecili go.

Najwięcej dokuczał „krzywy Franek" z przeciwka.

— To ten, co mu ojca do warjatów zabrali... — szydził.

Jurek płakał i biegł do matki na skargę.

Potem nie bawił się już z chłopakami z podwórza, w domu przesiadywał, pomagał matce, a później uczyć się zaczął.

Ale wcześnie już legł mu smutek na szczupłej, mizernej twarzyczce.

Kochała go matka, bo był jeden „dobry": starszy syn rozpił się na umór i ślad po nim zaginął, a i z córki wielkiej pociechy nie miała.

Starsza była dziewczyna od Jurka o pięć lat, wcześnie nawet zamąż wyszła, ale ludzie dziwnie o niej mawiali, że „taka jakaś"—i tu wskazywali na czoło...

Jurek był cichem, łagodnem, bojaźliwem dzieckiem.

Ciężko pracowała pani Sciwerska jako pielęgniarka w szpitalu, ale na książki dla Jurka starczyło. Udało jej się przez protekcję ordynatora szpitala umieścić syna bezpłatnie w szkole handlowej, i oto Jurek, acz z wielkim trudem i mozołem — ciężko mu szła nauka — dobrnął do piątej klasy.

Był niezdolny i dlatego dalej nie poszedł.

Opinją u przełożonych cieszył się dobrą: pracowity, pilny, posłuszny, dobrze wychowany.

Otrzymał posadę.

Pensja 240 zł., stolik, pióro, stemple, akta: kancelista, jakich wielu: pożyteczne, posłuszne, bierne kółko wielkiej machiny społecznej.

Taki był Jerzy Sciwerski.

Anna była jedynaczką.

Ojciec nie żył, bracia rozeszli się po świecie: jeden w Ameryce, drugi — robotnik na Śląsku, trzeci — najmłodszy — w wojsku.

Powodziło się rodzinie nienajgorzej.

Matka — szwaczka, syn najstarszy z Ameryki od czasu do czasu parę dolarów przysłał: żyło się jakoś.

Anna była zgrabna, wesoła, krzykliwa i... rozpieszczona.

Rozpieszczona — bo w oczach matki — starej Traczowej — była chyba najpiękniejsza na świecie.

Chowała ją matka „na pannę".

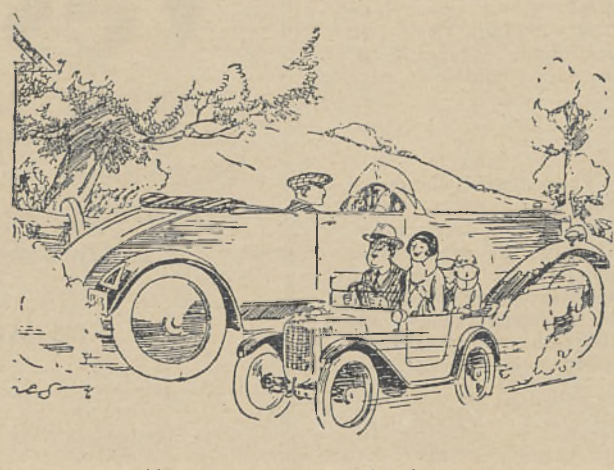
Anusia nigdy „grubszej roboty" w domu nie robiła, ot, pomagała matce w szyciu, odniosła sukienkę klijentce, haft jaki wypracowała — to całe zajęcie dziewczyny.

Ale mimo wszystko, nie była Anusia zupełnie rozbałamucona, pozostała dobrą i uczynną

HUMOR



— Powiadasz, że taki lowelas? A ja bym mu nie uległa...



— ...Ale my zato mamy 4-osobowe auto...



— Powiedz-no, żeby grał w moją stronę — to mi zupa ostygnie...

dziewczyną, trochę tylko miała przewrócone w głowie — to cały wynik wadliwego wychowania.

———

Pani Sciwerska tylko jedną osobę na świecie kochała: syna Jerzego.

Był „kształcony", „inteligentny", a pozatem dobry, łagodny: nie pił, nie łajdaczył się — błogosławieństwo jej ciężkiego życia.

Widzi się pani Sciwerskiej piękna przyszłość dla syna.

Weźmie sobie pannę posażną, też ukształconą i z ładnej rodziny, bo zasłużył na nią, bo inna Jurka nie warta.

I ma pani Sciwerska obraz synowej przed oczyma — żywy i wyraźny.

———

— Piękna dziewczyna z tej Anki — myśli pani Traczowa — już jej siedemnaście na Zielone Święta minęło — szczęście, że uchowała się na porządną w takich czasach: pora ją zamąż wydać.

I roi się pani Traczowej bogaty kupiec, albo i dyrektor jaki, albo doktór — bo przecież taka dziewczyna tylko w salonie zasiadać powinna.

Patrzy pani Traczowa na córkę i śmieje się w duchu do siebie:

— Niechby ją jaki zobaczył w tej nowej sukience — jużby oczu oderwać nie mógł...

I ma pani Traczowa obraz zięcia przed oczyma: żywy i wyraźny.

———

Ale tak się jakoś stało — czy że Jerzy Sciwerski i Anna Traczówna mieszkali na jednej ulicy na Targówku, czy że sąsiadce Jerzego Anka odnosiła wyprawę ślubną.

Że piękną sukienkę, wypracowaną rękami starej Traczowej, zobaczył na Ance nie bogaty kupiec, albo dyrektor, albo doktór jaki — ale właśnie kancelista, Jerzy Sciwerski.

———

I od tej sukni zaczął się romans pomiędzy Anną a Jerzym.

I od tej pory pomiędzy syna a matkę wszedł cień dziewczyny, a między matkę i córkę — cień chłopca.

———

— Gdzie byłaś, Anka? — już po dziesiątej— gdzie ty się włóczysz, dziewucho?

— A tam, u Karolki byłam, narzeczony jej z wojska przyjechał — bawiliśmy się...

———

— Jeszcze nie jadłeś kolacji, synu? — pyta troskliwie matka — gdzie byłeś do tej pory?

— Nie będę jadł, mamo, nie jestem głodny— odpowiada Jerzy i odsuwa niechętnie talerz... — nie mogłem przyjść wcześniej, byłem zajęty.

———

Nie umawiali się młodzi co do tego, ale żadne z nich nic w domu o swojej miłości nie opowiadało.

Anna wiedziała, że Traczowa twarda jest i uparta, i raczej ziemię gryźć będzie—umrze ze zgryzoty, aniżeli pogodzi się z myślą, że córka jej wyszła za jakiegoś „chłystka", co to krzesło przy biurku wysiaduje, za 240 zł. miesięcznie...

Kochał Jerzy matkę — od dzieciństwa przywykły do posłuszeństwa i uległości — bał się zmartwienia, jakie jej sprawi: dziewczyna prosta, córka szwaczki z przedmieścia... i krył się ze swojem uczuciem.

Spotykali się młodzi ukradkiem, w tajemnicy, bez planów na przyszłość, bez nadziei, bo żadne z nich na krok stanowczy zdobyć się nie umiało.

———

Pani Sciwerska nie robiła synowi głośnych wyrzutów. Ale jak kropla po kropli drąży skałę, tak łza za łzą matki zgryzała postanowienie Jerzego.

Rozeszli się.

Na miesiąc.

A potem znów się zeszli.

Ale teraz inaczej.

Anka przyszła do domu Jerzego.

Została na noc.

Już wszystko jedno.

— Nie waż się wracać — powiedziała matka.

Ciężka nienawiść dla mężczyzny, który jej córkę zabrał, zawziętość bez granic na matkę jego, kobietę, która w swoim domu na rozpustę jej córki patrzyła...

———

Po upływie pół roku Jerzy i Anna pobrali się.

Ale przejścia ostatnich miesięcy pozostawiły głęboką skazę na ich psychice i na ich uczuciu.

———

Nienawidzi pani Sciwerska Anny — tylko złe w niej cechy spostrzega: nic robić nie potrafi, nieporządna, niechlujna...

I mówi to wszystko synowi.

Nienawiść starych wdziera się pomiędzy Jerzego a Annę.

———

Za stara już jest Sciborska, żeby pracować w szpitalu.

Bieda.

Anna zaczyna pracować na fabryce.

Podgląda teściowa Annę, notuje w przeżartem goryczą sercu wszystkie jej grzechy, a potem sączy je, sączy zjadliwie w uszy synowi...

— Całe wieczory latała... podobno znów ją widzieli z tym chłopem... — opowiada Jerzemu, który wrócił właśnie z ćwiczeń wojskowych.

———

Przychodzą wybuchy. Wściekłe wybuchy nieuzasadnionych wyrzutów i żalów.

Jerzy zmienił się nie do poznania.

Cichy, spokojny człowiek, miewa napady szału.

Ucieka teraz Anna często do matki.

Pogodziły się.

— Jak ty wyglądasz, córko? Nie daje ci nawet na porządną sukienczynę? Na tom cię wychowała, o ja nieszczęśliwa...

Wraca do domu teściowej Anna z jadem w duszy.

Jątrzy się, jątrzy rana bezustannie.

Aż wreszcie nastąpi katastrofa.

———

W świetle danych przewodu sądowego sprawa przedstawia się w sposób następujący:

W przeddzień dnia krytycznego, gdy Sciwerski wrócił z biura, zastał wszystkie rzeczy w domu w nieładzie: rozrzucone suknie i bieliznę, zdarte firanki i t. p. Żona jego, Anna, pakowała swoje rzeczy.

Na zapytanie Jerzego, odrzekła, że ma dość już tego psiego życia, zabiera sukienki, jakie otrzymała od swojej matki — on jej nic nie dał, ani sprawił — i wraca do siebie do domu.

Sciwerski błagał żonę, żeby nie odchodziła, jednak wszystkie prośby pozostały bezskuteczne.

Odeszła, a na pożegnanie rzekła:

— A za moją mękę będziesz miał jeszcze zapłacone...

Matka Jerzego, po odejściu synowej, powiedziała:

— Wszystko to ta stara jędza winna — buntowała, buntowała — teraz masz.

Ale nie mogła się powstrzymać:

— A zresztą niech idzie, krzyż na drogę, już dawno...

— Milcz! — krzyknął Jerzy — milcz!

Z przerażeniem patrzy na niego matka.

Jerzy wpadł w szał. Tłukł szkło, łamał meble, aż wreszcie padł wyczerpany na łóżko.

———

Ustalono, że o g. 12-ej był w sklepie Wawrzyka, gdzie kupił nóż sprężynowy.

O god. 1-ej widziano go na podwórzu fabryki, gdzie Anna pracowała. Wywołał żonę i rozmawiał z nią kilka minut.

Na zapytanie przewodniczącego, czy chce zeznawać — Anna odpowiedziała twierdząco i oświadczyła, że mąż, wywoławszy ją z fabryki, prosił, aby wróciła do niego. Kiedy ostatecznie odmówiła, popatrzył na nią chwilę, poczem bez słowa odszedł.

———

Stara, zgarbiona kobieta, Paulina Szmigielska, przyjaciółka Traczowej, z drżeniem w głosie, ale jasno i dobitnie zeznaje:

— Byłam przy tem, jak Sciwerski przyszedł do Traczowej. Był bardzo blady, ale spokojny. Mówił powoli, z namysłem. Pytał, dlaczego mu zabiera żonę, prosił, by namówiła Annę do powrotu.

Na to Traczowa:

— Ty niedojdo, niedojdo. Mało moja córka nacierpiała się przez ciebie — mało, że nie dajesz jej utrzymania, mało, że wyganiasz na robotę do fabryki, jeszcze twoja matka, ta stara ...... (następuje słowo nie do druku, słowo ohydne, najstraszniejsza rzecz, jaką synowi o matce jego powiedzieć można).

— Co? moja matka ...... O, ty...

Sciwerski zerwał się wtedy, sięgnął do kieszeni i...

———

Na ławie oskarżonych zasiada mały, szczupły człowiek, o bladej, nędznej twarzy.

Nazywa się Jerzy Sciwerski.

Oskarżony jest o to, że w zamiarze pozbawienia życia zadał Wiktorji Traczowej 12 *(wyraźnie dwanaście)* głębokich ran cięto-kłutych nożem sprężynowym, czem spowodował śmierć tejże Traczowej...

———

Dwanaście straszliwych ran w plecy, szyję, ramiona, piersi — z ręki człowieka, który w życiu swojem muchy nie skrzywdził...

———

Miłość — nienawiść. Nienawiść — miłość.

A za plecami oskarżonego stoi cień obłąkanego ojca i siostry niespełna rozumu.

Cztery lata ciężkiego więzienia.

I. E.

O jakiej kobiecie wiemy tak niewiele

Hiszpanja z dumą twierdzi, że jest krajem rodzin i że poza nią niema w Europie kraju, gdzieby się stosunki patrjarchalne w tak znacznym stopniu dotąd utrzymały.

Kobieta hiszpańska w obliczu prawa nie jest samodzielną jednostką, jest jedynie cząstką rodziny. Kobieta tamtejsza jest przed ślubem niewolnicą swych rodziców i według prawa nie wolno jej opuścić domu rodzicielskiego bez zgody ojca przed 25-ym rokiem, i tylko jakby automatycznie przestaje być własnością ojca w chwili wyjścia za mąż, ażeby stać się znów własnością swego małżonka.

Większość hiszpanek, należących do klasy średniej, przed ślubem rozmawia z mężczyznami jedynie w obecności innych ludzi, a po ślubie poza swym mężem bez osób trzecich, z żadnym mężczyzną nie rozmawia. Hiszpanka w czasie swego panieństwa ma niby to pewną swobodę ruchów, wolno jej się przynajmniej ukazywać w świecie w towarzystwie swych przyjaciółek, wolno jej tańczyć z pewnemi ograniczeniami—o ile jest kobietą bardzo postępową — wolno jej nawet piesze wycieczki odbywać, naturalnie pod opieką brata i przyjaciółek. Uczęszcza do miejsc rozrywkowych, choć przeważnie w towarzystwie rodziców, z chwilą jednak, gdy wyjdzie zamąż, wszystkie te przyjemności prawie że zupełnie ustają i życie jej osobiste nie ma zastosowania, traci cel. Z braku zajęcia zamiera w niej mózg i muskuły, a dni stają się jednem, a długiem, niekończacem się pasmem nudy. Rezultat jest następujący, a można to zaobserwować w każdem hiszpańskiem mieście: że oto na całym świecie niema tyle ładnych *dziewcząt*, jak w Hiszpanji, ale też nigdzie tak mało ładnych *kobiet*. Starzenie ich rozpoczyna się z 25-ym rokiem życia!



Ognista Lupe Velez.
(fot. Paramount)

Wiele przyczyn się na to składa w Hiszpanji, że kobiety stanu średniego przeważnie mało okazują zainteresowań i są słabego charakteru. Przedewszystkiem są braki w ich wychowaniu. Kobieta hiszpańska mniej się kształci, niż mężczyzna. W samym Madrycie jest w wieku ponad 25 lat 5% mężczyzn analfabetów przy 17,5% analfabetek, w prowincji Lion 13% mężczyzn, zaś 46% kobiet. W całej Hiszpanji w wieku ponad 25 lat 35% mężczyzn, 55% kobiet niepiśmiennych i nie umiejących czytać. Powodem tej przewagi analfabetyzmu u kobiet jest głęboko zakorzenione uprzedzenie do kształcenia kobiet.

Naturalnie procent kompletnych analfabetek wśród klasy średniej jest mniejszy, choć ta umiejętność pisania i czytania mało im się przydaje, gdyż nie zużytkowują tego w kierunku intelektualnym. Według ich pojęć kobieta na tej ziemi, poza dążeniem do zbawienia duszy ma tylko jeszcze jeden cel, a mianowicie: dobre zamążpójście, a potem, gdy już ma dzieci, winna dążyć do osiągnięcia dla nich znów maksimum szczęścia. Staje się ona po ślubie wierną i zazdrosną kapłanką swego ogniska i dba o podtrzymanie gatunku jedynie z biologicznego punktu widzenia. Nic dla niej nie istnieje poza tą misją, nie interesuje się ani nauką, ani polityką, ani historją, ani nieśmiertelnością. Te kwestje zajmują ją tylko o tyle, o ile to jej przynosi jakieś... gospodarskie korzyści, lub ułatwienia życiowe.

Jest tylko jedna rzecz, którą jej zawsze wolno, t. j. chodzić kiedy chce do kościoła, gdyż tam każdy mąż pragnie, aby żona jego była wierzącą. Kiedyś spytano się jakiegoś hiszpana, ilu jest ludzi prawdziwie wierzących w tem mieście. Odpowiedź brzmiała: „10% mężczyzn i prawie wszystkie kobiety, przecież one muszą mieć też jakąś pociechę w życiu!" Powiem, że może najbardziej wzruszającym widokiem w każdem małem mieście hiszpańskiem jest widok masy czarno ubranych, mocno zawoalowanych starych panien i wdów, t. zw. ratas de iglesia (szczury kościelne) ,podążających do kościoła. Życie ich beznadziejne, wypełnione jest jedynie wiarą, rezygnacją i wędrówką z jednego nabożeństwa na drugie.

Mało jest innych atrakcyj, dostępnych dla nich, pomimo że np. kino w Hiszpanji odgrywa znaczną rolę jako rozrywka, bo np. w jednem z miast prowincjonalnych, mającem 10.000 mieszkańców, pięć kinoteatrów tak wrosło w serca ludności, że.... rzeźnicy sprzedawali o połowę mniej mięsa niż do czasu otwarcia kin, albowiem konsumenci woleli oszczędzać na jedzeniu, a chodzić do kina! Wobec tego, co już wiemy o życiu hiszpanek, jest to zabawne, zdumiewające i zrozumiałe!

Widok kawiarni w Hiszpanji najlepiej nam uplastycznia wyodrębnienie kobiet z życia pozadomowego. Kawiarnia w Hiszpanji to klub demokratyczny i lokalny parlament, gdzie się zbierają mężczyźni codziennie po kolacji. Na stu mężczyzn spotyka się tam zaledwie jedna kobietę, reszta siedzi w domu i więdnie przy domowem ognisku.

Kobieta ze wsi natomiast jako żona chłopa, wodzi rej. Wiejską gospodynę no si w sobie taką godność, jaką trudnoby było znaleźć w kobiecie z miasta. Gdy się rozmawia z wieśniaczką katalońską lub galicyjską, wówczas ma się przed sobą kogoś, wyczuwa się indywidualność silną —a tego wrażenia się nie odnosi z mieszczką, chyba wyjątkowo. A pochodzi to stąd, że wieśniaczka hiszpańska ma władzę w ręku i korzysta z niej. Ciężko pracuje, sprzedaje produkty na targu, zarabia na tem i robi oszczędności, wydając przezornie. W ten sposób zdobywa szacunek i mąż się z nią liczy. Oto powód, dlaczego los jej jest lepszy, niż los jej siostry, prowadzącej życie napół pasożytnicze w mieście.

Pojęcie o sentymencie, tkwiącym w kobiecie hiszpańskiej, wyobrażamy sobie, patrząc na hiszpańską tancerkę kabaretową. Taka tancerka *musi*, naturalnie, w celach zawodowych, pielęgnować swe ciało, zamężna zaś kobieta tego czynić *nie potrzebuje*. W kabaretach w Barcelonie, Madrycie i innych miastach hiszpańskich widzi się dużo ładnych, egzotycznych, smukłych, ożywionych dziewcząt. Gdy zajrzymy natomiast do kabaretu w Barcelonie, znajdziemy tam pełno kobiet, nietylko ładnych, lecz mających w sobie stygmat tragicznej piękności, mających coś w sobie z rytmu tanga! Żadna jednak z tych kobiet nie zalicza się do „kobiet przyzwoitych". Są to prostytutki lub metresy.

Kiedyś mówił mi pewien młody adwokat, katalończyk, że w Hiszpanji młodzieńcy patrzą na młodą dziewczynę jak na wroga, którego trzeba pokonać i upokorzyć. Opowiadał mi on również o młodzieńcach z dobrych domów, którzy uwodzili młode dziewczęta, a gdy te zostały przegnane z domu rodzicielskiego i rodziły dziecko w miejskim zakładzie położniczym, umieszczali je potem w... domu publicznym, przyrzekając, że je będą odwiedzać od czasu do czasu i... sprowadzać zamożnych gości. Ów młodzieniec zapewniał mnie pozatem, że w Hiszpanji niema takiego młodzieńca, któryby się starał uchronić dziewczynę przed takim ostatecznym krokiem.

Każdy kraj na świecie ma swe odrębne zagadnienia z dziedziny występków i grzechów, lecz tu rysem charakterystycznym w tym dziwnym splocie zwyczajów i faktów jest bezlitosne okrucieństwo, nieprzejednane stanowisko, zimny cynizm, nie znający współczucia, uniemożliwiający wprost złagodzenie stosunków między obu płciami, a tem samem i powołanie do życia pięknych, pełnych czaru możliwości. I oto dlaczego współżycie kobiety i mężczyzny w Hiszpanji — to nuda i chuć.

Piękny ten kraj, pełen wielkiej poezji i wielkiego malarstwa, kraj ludzi rycerskich, jakże dziwnie beznadziejne wydziela stanowisko kobiecie!

Hael.

Czy wiecie że...

...pierwszą kobietą-artystką była madame Beaupre, która występowała w roku 1634 na scenie teatru paryskiego w sztuce Corneille'a.

*

...pierwsza kasa oszczędnościowa założona została w r. 1798 w Anglji przez panią Weekfield.

*

...moda szminkowania się została wprowadzona we Francji przez członków świty Katarzyny Medici.

*

...na Korsyce kobiety noszą żałobę po mężu przez całe życie.

*

...podczas rewolucji francuskiej stracono na gilotynie w przeciągu dwóch lat 2742 ludzi, w tem 344 kobiety.

*

...w całych Stanach Zjednoczonych jest podług ostatniej statystyki 20.000 kin z 18 miljonami miejsc. Przeciętnie odwiedzane są te kina przez sto miljonów osób tygodniowo, co wynosi rocznie pięć miljardów dwieście miljonów, a więc prawie dwa razy tyle, ile stanowi ludzkość całej kuli ziemskiej. Te pięć miljardów osób płaci rocznie za bilety 750 miljonów dolarów.

*

...do wyrobu pewnego gatunku czerwonej farby używa się.... suszonych much. Całe ich tonny są w tym celu eksportowane z Kuby do Meksyku.

*

...pewien badacz angielski ustalił, że w Indjach mówi się 179 językami i używa się 544 rozmaitych djalektów.

*

...długość jelit u zwierząt jest mniej lub więcej zależna od rodzaju pokarmu. Kiszki zwierząt roślinożerczych są dłuższe, niż mięsożerczych; kiszki kota domowego, który żywi się nietylko mięsem, są o jedną trzecią dłuższe, niż kiszki dzikiego kota, kiszki zaś wilka są o jedną trzecią dłuższe, niż kiszki psa-wilka, spożywającego pokarmy mleczne.

Polityka zdechłego psa

(Dalszy ciąg ze str. 2-ej)

Co dalej? Jeśli „zdechły pies" popłynie dalej na fali wezbranego pacyfizmu — to niewątpliwie nastąpi trzeci akt komedji: Niemcy zażądają rewizji granic wschodnich, skasowania korytarza pomorskiego, zwrotu Śląska, przyłączenia Gdańska i t. d. pod pozorem, że tylko ta „naprawa krzywd" i „błędów okrutnego Traktatu" pozwoli im uśmierzyć ferment odwetowy i uciąć hydrze militaryzmu odrastające łby w stalowych hełmach. „Zdechły pies" gotów pójść i na to, rzucając zawczasu odium i odpowiedzialność na „tych niesfornych Polaków", którzy „nie rozumieją i nie szanują" zasad pokoju europejskiego i stają wpoprzek wciągnięciu Niemiec do współpracy w budowie Stanów Zjednoczonych starego lądu.

Wśród książek

Nowe książki Karola Koźmińskiego. Karol Koźmiński. — Rotmistrz Andrzej. — Powieść. — Warszawa. — 1930. — Nakładem Księgarni F. Hoesicka, oraz W niewoli i w Wermachcie. — 1916 — 1918. — Warszawa 1930. — Skład Główny, „Dom Książki Polskiej".

Ciężkie a zarazem bardzo „lekkie" powojenne czasy, kótre tak bardzo obniżyły ogólny poziom kulturalny (a więc także pisarski), pomiędzy innemi, bardzo różnemi, reformami przeprowadziły także, jeśli tak powiedzieć można, reformę dziwną, nie powiem pożądaną, ale bardzo wyraźną i bardzo znamienną: podział piszących na dwie kategorje: kulturalną i niekulturalną, lub nawet akulturalną. Pisarzy kulturalnych cechuje przedewszystkiem to, że zawsze mają cel artystyczny i społeczny, i że piszą przedewszystkiem o tem, o czem z potrzeby wewnętrznej pisać muszą, i że nie „tworzą po łebkach". No, i oczywiście, nie tworzą „na funty!".

P. Karol Koźmiński jest właśnie takim upartym pisarzem kulturalnym, który „sprawę honorarjum" uważa (o, zgrozo!) za zupełnie uboczną, który pisania i tworzenia nie nazywa rzemiosłem, a mimo to pisze bardzo dobrze i daje już duże gwarancje, że pisać będzie coraz lepiej. Jego powieść, aczkolwiek zawiera w sobie dość zawikłany i nawet ryzykowny w pomyśle romans, jest jednak typową powieścią psychologiczną, przemyślaną i opracowaną z pełną starannością, niepozbawioną wdzięku subtelności, dzięki której nawet pewne rozwlekłości, nie rażą. Posługuje się przytem językiem bogatym i barwnym, a przecie nie wysilonym, prostym i jasnym. Sztuka jego nie ma w sobie niczego sztucznego, a zarzuty, jakieby można postawić, dałyby się z pewnością zamknąć w określeniu: brak doświadczenia. Ale wynagradza wszystko głębsze spojrzenie na ludzi i świat, poważny krąg zainteresowań i to — takie bardzo wartościowe — że autor zawsze umie być zajmującym.

Jego druga książka, którą tu omówić chcemy, jest tworzywem zgoła innego rodzaju. Jest to pamiętnik wojenny, a raczej druga jego część. (Pierwsza wyszła w r. 1928 p. t. „Z ułanami Beliny"). Opowieść prosta, głęboko wzruszająca, i bardzo zajmująca, bo napisana przez człowieka, który „pisać musi". Tego typu opowieści jest u nas jeszcze bardzo niewiele, a potrzebne są bardzo i pożyteczne. Na szczególną uwagę zasługują karty opisujące życie polskiego „wermachtu" i ówczesnej szkoły podchorążych. Dzieło to można polecić wszystkim, a przedewszystkiem młodzieży i wojskowym.

Wiktor Przecławski.

TO, TAMTO I OWO



Ostatnio powstała w Berlinie szkoła tańców nowoczesnych, według oryginalnej metody. Na szachownicy wyrysowanej na posadzce uczeń wykonywa wszystkie pas, dyktowane przez nauczyciela ze specjalnego klucza.

„OKO ELEKTRYCZNE".

Taką nazwę popularną nosi obecnie komórka fotoelektryczna, która jest bardzo prostym przyrządem, posiadającym własność zamiany natężeń światła na na zmiany oporu, a zatem i natężenia prądu elektrycznego w obwodzie.

Przyrząd ten posiada już obecnie wielorakie zastosowanie, wykonując cały szereg czynności, które mogą wprowadzić w zdumienie osoby niewtajemniczone w sekrety czułej na światło komórki.

Weźmy jeden z efektownych przykładów.

Oto puszczamy z lampy ukrytej promień ultrafioletowy na drzwiczki kasy ogniotrwałej. Promień taki jest dla oka niewidzialny, jako znajdujący się poza sferą, objętą przez nasz zmysł widzenia. Jeśli teraz zjawi się niepożądany gość pod postacią „specjalisty" z „rakiem" do prucia pancerza kasy, to wystarczy, aby przeszedłszy przez niewidzialny promień, rzucił on swój cień na komórkę fotoelektryczną. Następuje zmiana w obwodzie prądu, a rezultatem jej jest wprowadzenie w ruch sygnalizacji alarmowej, umieszczonej tak daleko, że opryszek nie może jej słyszeć, a skutki jej czuje dopiero po zjawieniu się strażnika.

W podobny sposób komórka elektryczna może gasić automatycznie pożar, sprawdzać ważenie i t. p. Jednem z jej zastosowań jest segregacja cygar.

Jak wiadomo, cygara różnią się kolorem, który jest w związku z ich gatunkiem. Ta różnica czysto optyczna pozwala na dokonywanie sortowania drogą automatyczną, przy pomocy właśnie „oka".

Na jednym z odczytów popularno-naukowych w Ameryce prelegent wykonał bardzo zajmujące doświadczenie. Rozłożył mianowicie przed widzami kilkanaście paczek, zawierających drożdże. Niektóre z nich miały na opakowaniu wydrukowaną firmę producenta, inne zaś nie.

Poddano następnie wszystkie paczki, jedną po drugiej, badawczym promieniom „oka" elektrycznego". Gdy tylko znalazła się paczka bez etykiety, w tej chwili rozlegał się sygnał alarmowy.

„Oko elektryczne" okazywało się czulszem i doskonalszem od prawdziwego.

Podobno w Stanach Zjednoczonych istnieje kilka teatrów i sal kinematograficznych, które używają komórki elektrycznej do liczenia wchodzących widzów, o czem ci nawet nie wiedzą.

Jednem z ostatnich zastosowań technicznych takiej komórki, które może okazać się wprost dobrodziejstwem, jest użycie jej do automatycznego hamowania pociągów w ruchu.

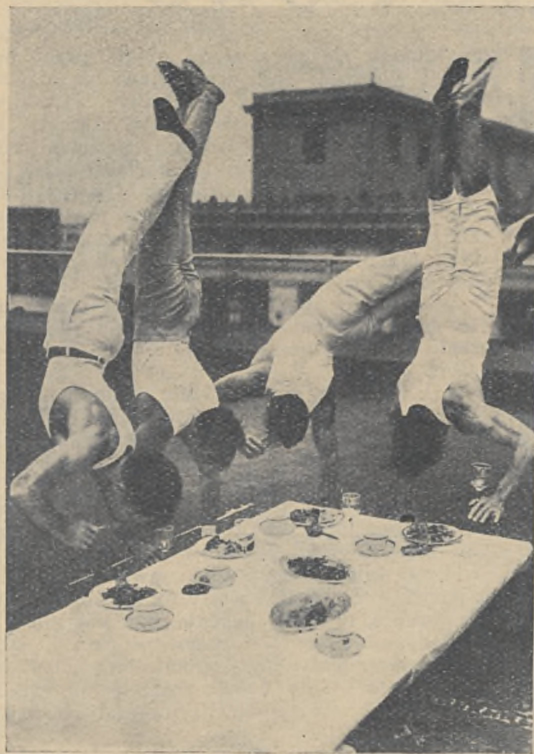
W tym wypadku lokomotywa otrzymuje specjalny przyrząd z komórką fotoelektryczną, semafory zaś zostają zaopatrzone w pewien rodzaj latarni, rozpraszających na wszystkie strony promienie świetlne.

Pociąg, przejeżdżający pod zapalonym semaforem, zostaje zatrzymany automatycznie, skoro tylko „oko elektryczne" lokomotywy schwyci jeden z promieni i puści w ruch hamulec.

Z. K.

Silne lotnictwo to potęga Polski

Okładkę projektował Jerzy Radlicz



Zwarjowanym na punkcie oryginalności Amerykanom już nie starcza normalny sposób jedzenia.



Miss Mabel dba o smukłość swej sylwetki. Oto niezbędne poranne ćwiczenia.

Do góry nogami!

Jako urodzony optymista nie jestem zwolennikiem tej niewygodnej pozycji. Cóż, u licha! Człowiek nie jest muchą, żeby chodził po suficie. Wtedy właśnie przepada z kretesem, kiedy zwiesza głowę nadół i poddaje się złemu losowi. „Głowa do góry!" — oto hasło ludzi energicznych, przedsiębiorczych, wytrwałych, którzy jakiś ślad po sobie zostawią.

Co innego, proszę państwa, pozycja „do góry nóżkami", zwłaszcza jeśli się ma takie śliczne, figlarne i pełne rozkosznej wymowy, nóżki, jak panna Mabel, której podobizna zdobi tę stronę i przyciąga nasze oczy. Zwłaszcza, że wobec surowych nakazów Królowej Mody, która stąd ni zowąd zachorowała na cnotliwość i nagwałt wydłuża suknie niewieście, widok pięknej pary nóżek stać się może z czasem czemś bardzo rzadkiem, a więc tembardziej cennem. Ale, a propos moda. Słyszałem, że oszczędne Paryżanki dają z nią sobie cudowne radę. Poprostu przerabiają długie nocne koszule jedwabne na modne suknie, a suknie na nocne koszule... I wilk syty i kieszeń cała..

Najsmutniej jednak wygląda kieliszek, postawiony do góry nogami. Wprost nieprzyzwoicie! Dlatego też przepadam za mym kolegą Staśkiem, który jest dobrze wychowany i na takie nietakty sobie nie pozwala. Obiecał wprawdzie swej żonie, że nigdy więcej, niż jeden kieliszek nie wypije — ale, jak powiada, po wypiciu tego kieliszka staje się innym człowiekiem... no, a ten „inny człowiek" też musi się napić, nieprawdaż?... Krzywem okiem patrzy się na to pani Stanisławowa — i kiedy pewnego razu zapytał ją synek:

— Czy to możliwe, mamusiu, żeby wielbłąd mógł pracować przez cały tydzień bez picia? — odparła: — Zupełnie możliwe, mój mały. Twój tatuś, który wszystko robi do góry nogami, może przez cały tydzień pić, nie pracując...

Kochana niewiasta, ta pani Stanisławowa! Zapytano ją kiedyś niedyskretnie o jej wiek. — Zaraz to panu obliczę — odpowiedziała. — Miałam 18 wiosen, kiedy wyszłam zamąż — a mój mąż miał wtedy 30 lat. Teraz liczy sześćdziesiąt, czyli dwa razy tyle. No, to i ja mam dwa razy tyle — czyli... 36 lat...

Specjalistą od sytuacyj „do góry nogami" jest również znakomity pisarz i humorysta francuski, Tristan Bernard, słynny ze swych wesołych kawałów i potężnej brody patryarchy, którą podbija cały Paryż. Nie znajdując pewnego razu wygodnego miejsca w wagonie, rozsiadł się najspokojniej w przedziale damskim. Spostrzegł to konduktor i woła: — Panie, to przedział dla dam! — No to co? — odpowiada Tristan z uśmiechem — pan mnie, jak widzę, nie poznaje. Jestem „kobieta z brodą" z Luna-Parku...

Obyczaje współczesne na każdym kroku nastręczają sytuacje „do góry nogami". Pytamy np. małego Józia, który zanosi się płaczem, o powód tej rozpaczy. — Bo... bo..... — odpowiada, szlochając — bo tatuś ożenił się z mamą i nie chcą mnie zabrać ze sobą w podróż poślubną...

Albo, naprzykład, taki djalog, podsłuchany w pewnym domu handlowym:

— Jak się skończyła sprawa tego złodzieja Szwajnwassera, który nabił pana na 200 tysięcy? Wsadził go pan do paki?

— Nic podobnego! Wszystko jest w największym porządku!

— Oddał panu?

— Nie, ale ożenił się z moją starszą córką...

Różnie bywa na tym świecie, proszę państwa! Np. w parku zdrojowym w Krynicy siedzi na ławce elegancka i przystojna pani. Podchodzi jakiś gentlemen i, uchyliwszy kapelusza, siada na drugim końcu ławki. Pani zerka w jego stronę, przygląda mu się uważnie i zwraca się doń po chwili namysłu:

— Przepraszam pana, ale zdaje mi się, że spotkałam się już gdzieś z panem...

— Owszem, łaskawa pani — odpowiada gentlemen — miałem zaszczyt być pani pierwszym mężem...

Ibis.



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.